



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

SPOŁECZNE PRAWA KOBIETY.

W zakresie idei wyznaczającej kierunek dążeń i prac życia kobiety zaszedł fakt ważny. Kobieta angielska, w ogóle biorąc poważna, rozumna, obyczajów uczciwych, dobra strażniczka domowego ogniska, wystąpiła za pośrednictwem rzecznika swego, A. Rollitta, członka Izby Gmin, przed parlament, to jest ciało prawodawcze państwa, z żądaniem udziału w wyborach do tego parlamentu, na zasadzie, że jest obywatelką kraju, wśród którego pracuje, więc któremu służy, któremu składa podatki: pragnie zatem i praw przysługujących jego mieszkańcom—żąda, aby głos jej przekonani dał się słyszeć wśród głosu innych, radzących o pomyślności i postępie jej społeczeństwa, przecież za pośrednictwem jedynie tych, którychby mandatarjuszami swemi robiła, co znaczy, że pragnie wszystkim obowiązkom swoim zadosyć uczynić: pracy swojej w rodzinie nie zaniedbać, na polu jej wiernie trwać i tylko zastępcę swego, rzecznika tychsamych zasad i uczuć, które ją ożywiają, do rady nad dobrem koronnych krajów Anglii wysłać.

Czy się tu nie myli jednak — czy ten jej czyn uważać należy za fakt dla społeczeństwa jej dodatni lub ujemny? to pytanie, nad którym zastanowić się trzeba i które też postawiła sobie opinia, silnie poruszona nie tylko w państwie angielskiem, bo chodzi tu o rodzinę, która po wszystkie czasy i wśród wszystkich społeczeństw jest podstawą życia ludzkości. Co tu kobiecie angielskiej zarzucić można? Czy to, że bierze gorąco do serca sprawy swego ogółu, że się zajmuje żywo jego postępowaniem, jego pomyślnością, sprzeczne

jest z jej powołaniem matki i żony—towarzyszki życia mężczyzny i wychowawczyni dziecka? Czy ta powaga myśli zwróconej ponad codzienność życia, nad jego drobne sprawy, troski i nadzieje nie podnosi jej nad lekkość, nad chęć płochego używania—nad obojętność względem wszystkiego, co nie jest celem jej osobistych przyjemności, lub realnych zysków jedynie? „Gdzie jest twój skarb, tam jest i serce twoje“ i snadź kobieta angielska nie przyrosła jedynie do samolubnie kochanego kąta domowego, nie zatopiła całego umysłu w pracy mrówczej zajęć swych codziennych—zajęć niewątpliwie wielkiego, ogromnego znaczenia, społecznego nawet, bo ekonomia narodu opiera się na ekonomii rodzin, więc stojąca tu na czele kobieta jest podskarbiną chleba swego ogółu. Ale nie samym chlebem człowiek żyje i rozumiejąca to Angielka pragnie na polu innej jeszcze pracy wspomóc to, co za szczęście ogółu swego uważa. A co do waśni rodzinnej, co do podkopania miłości małżeńskiej mowy tu być nie powinno, bo zdarzyć-by się to mogło tylko wyjątkowo—niezmierznie wyjątkowo i tam tylko, gdzie już i bez tego kobieta nie ceniła umysłu męża, nie podzielała jego poglądów na świat i żyła innem życiem ducha.

Przedmiot ten tak się przedstawia i dowodzi tego fakt, że stronnictwo Torysów, to jest stronnictwo konserwatywne, niepragnące naruszać bynajmniej tego, co wśród ludzkich pojęć o życiu jest spadkiem po przeszłości i życia tego ideałem górnym, nie stawia się opornie, lecz przeciwnie jest przychylnie głosowaniu kobiety, wiedząc, że większość byłaby tu po stronie przekonani, jakie chce w Izbach parlamentu przeprowadzić. Już Disraeli do tego stronnictwa należący był tu życzliwie dla praw kobiety usposobionym; przecież Gladstone, bardzo gorliwy rzecznik przyznania kobiecie wielu tych praw, które są dotąd dla niej niedostępne, w tym wypadku należy do opozycji w imię różnic, tak między zadaniami życia kobiety i mężczyzny, jak i między ich usposobieniami wrodzonymi, których zacierać

nie należy ze względu na szczęście obojga. Wydał też broszurę, napisaną w formie listu do członka Izby Gmin, Samuela Smith'a, w której to dowodzi, że znaczna większość kobiet zdrowo pojmujących życie i jego obowiązki nie będzie sięgać po te prawa; że zostawi je mężczyźnie, zwłaszcza, iż bardzo ograniczona liczba kobiet, stanąć-by tu mogła do pracy rzeczywiście pożytecznej. Nie są one należyście przygotowane do tego—dodaje, lecz zapomina, że kobieta angielska nie żąda bynajmniej na ławach parlamentu zasiadać, i pragnie tylko, głosując na wyborach, zastępcę swego tam posyłać.

Dziwić się nie można, że kobieta tego, co ogół Angielek nastroju, może pragnąć choć pośredniego wpływu na interessa najwyższego dla niej znaczenia, zwłaszcza, iż nie ona tylko uważa się za godną pożądanego tu przez nią współudziału w sprawie dobra ogólnego, jak tego dowiódł rezultat ostatniego głosowania w Izbie Gmin. Bill, to jest wniosek Alberta Rollitt'a upadł wprawdzie, ale pod bardzo małą większością przeciwnych mu głosów. Przeciw dopuszczeniu kobiety do głosowania wystąpiło 175 wyborców, lecz za nią odezwało się poważna liczba 152 głosów, jakkolwiek strona przeciwna rozwijała niezmiernie czynną działalność, aby temu przeszkodzić. Sprawa ta datuje od 1845 r. Ryszard Cobden wystąpił wtedy pierwszy, żądając dopuszczenia tu kobiety, o której powiedział: „Jest ona obywatelką kraju swego, bo się nią czuje.“ W 1865 r. Mill w programie przedstawionym wyborcom zamieścił i prawo głosowania kobiet, a obrany w roku następnym złożył Izbie petycją niewieścią, podpisaną przez 1.500 kobiet, które, podobnie jak w roku bieżącym, nie pragnęły być wybranymi do parlamentu, tylko chciały wybierać—chciały mieć głos w tej ważnej sprawie swego kraju. Nad „billem kobiecym“ debatowano wtedy raz pierwszy w Izbie Gmin, a otrzymał on już 82 głosów przychyl-nych; lecz w 1868 r. już tych głosów miał 150.

Wniesiona do parlamentu w 1871 r. petycja podpisana była przez trzykroć pięćdziesiąt tysięcy osób przychylnych temu dopuszczeniu kobiety do praw obywatelskich. I tak dalej, przez cały ciąg lat następujących po sobie, już kwestya ta nie schodzi z porządku dziennego parlamentów angielskich. W 1883 r. za bilem przypuszczającym kobiety do urny wyborczej głosowało 161 posłów, przeciwko niemu 177, zatem wniosek Rollitt'a nie jest jakimś faktem odosobnionym, ale ogniwem łańcucha ciągnącego się w Anglii przez całe lat szeregi.

Promotor jego tegoroczny dodaje: „przez szeregi wieków,“ bo Angielka głosowała już za czasów Plantagenetów i Tudorów. Kładzie on nacisk na to, iż żąda tego prawa tylko dla niezameżnej, dla samotnej, bo meżatka ma tu już reprezentanta swego w mężu. Zatem Rollitt powołuje do wyborów tylko niezameżne, co według jego obliczeń dałoby nie więcej „niż milion wyborczyń, to jest siódmą część ogółu wyborców.“ Na zarzuty stawiane mu, że żądając dopuszczenia do głosu tylko kobiety samotnej, krzywdzi meżatkę, dał odpowiedź rozumna, iż kobieta zameżna ma tu już w mężu reprezentanta swego. Niemoralnem byłoby przypuszczenie, że nie ma tu pomiędzy nimi zgody, ale gdyby nawet tak było, nie należy rozdmuchiwać żarzewia; lecz przeciwko głosowi kobiety samotnej co powiedzieć można? Jako wyborczynie zaczęłyby ona niewątpliwie działać przez pełnomocników swoich w sprawach dotyczących jej; czy więc nie byłoby to rzeczą pożyteczną, aby zwrócona tu uwaga na przedawnione artykuły prawodawstwa krajowego sprawiła, iżby one były przejrane i według dzisiejszych potrzeb i pojęć zmienione, gdzie tego jest potrzeba niewątpliwa? Jakkolwiek nie ona sama działająca tu będzie, ale nie mniej ona-to zawsze wniesie na forum prawodawcze przez pośrednika swego zażalenie swe słuszne—wykaże braki i potrzeby, nad którymi zastanowią się ojcowie narodu. Naprzykład nie istnieją dotąd, lub są zawarte tylko w przepisach doraźnych, prawa kobiety jako pracownicy. Meżczyzna może w Anglii zawiązywać na podstawie praw istniejących związki, których zadaniem jest porozumienie się między sobą ludźmi pracującymi w jednych gałęziach pracy i, co za tem idzie zgodne ich postępowanie w kwestyach dotyczących tej ich pracy; tymczasem kobieta, która potrzebuje tego więcej, niżeli meżczyzna, bo jest tu nowicyszką, znajduje w prawach obowiązujących, bo nieusuniętych dotąd, przeszkodę, a nie pomoc. Jest w Anglii kobiet pracujących poza ogniskiem domowym półpięta miliona, zapragnęły więc te pracujące związać się za przykładem meżczyzny w związki takie same: „Trades - Unions,“ czego przecież nie mogą dokonać z powodu, że podobne związki nie odpowiadałyby potrzebom, dla którychby je zawiązywano, a to z przyczyny, że prawodawstwo angielskie nie zna kobiety jako osoby pracującej na własną rękę, więc i sankcyi swojej dać jej nie może.

Jest tak nie w tym jednym wypadku i stowarzyszenia pracy kobiet stają się albo połowicznie tylko pożytecznymi, albo nie zawiązują się wcale, nie mając za sobą sankcyi prawnej; więc kobieta angielska pragnie mieć przedstawiciela swego w ciele prawodawczym, któryby interesów jej bronił, wykazując potrzebę zmian w prawodawstwie z powodu, że zmieniły się stosunki życia. Jest to nie tylko rzeczą sprawiedliwości, aby tak się stało ułatwienie bowiem kobiecie pracy w warunkach jej normalnych, najlepiej zamknie drogę tym nieprawidłowym, nienaturalnym stosunkom, wyrażającym się wtedy właśnie, kiedy kobieta pracować potrzebująca nie znajduje dla siebie drogi żadnej, którą postępować-by, mogła nie przerażając się w meżycę — w istotę o spaczonych życia pojęciach, niepożyteczną i nieszczęśliwą zarazem, bo szczęście, to harmonia, to spokojny i prawidłowy rozwój zdolności naszych, które wtedy tylko działać mogą uszczęśliwiając i owocnie, w zgodzie ze światem i naszą własną istotą wewnętrzną. Walka jest zawsze cierpieniem, bo jest zakłóceniem porządku—potrzebna wtedy tylko, gdy stanowi obronę, gdy ratuje interesa nasze, gdy praw naszych broni. Czy przecież kobieta występować może przeciwko meżczyźnie w charakterze takim?

Postęp nie może się opierać na łamaniu zasadniczych życia warunków, ale istnieć musi przez zgodny z prawami natury człowieka rozwój danych sił, danych jego przymiotów. Kobieta oświecona, kobieta, której rozum pozwala ogarnąć szersze życia horyzonty, zawsze znajdzie możność użytkowania duchowych zasobów swoich, a wtedy użyteczna już i przez uczucie użyteczności szczęśliwa i szanowana będzie za to, że umiała uszanować to, czego łamać się nie godzi dla samolubnych zachcianek naszych, opartych na podstawie tylko pychy, która jest tak wielką wadą w każdej istocie ludzkiej, jak wielką cnotą jest ta duma szlachetna, która broni nas właśnie przed fałszującym życiem przedzierzgiwaniem się w inną niż jesteśmy istotę, uczy nas jak być sobą w dostojnym znaczeniu tego wyrazu. Kobieta z sercem szlachetnie uderzającym jej w łonie, powinna wyemancypować się tylko z tych wad kobiecości, które są małostką, drobiazgowością, które jej nie dają ogarnąć wzrokiem szlachetnej istoty ludzkiej szerszych życia horyzontów, a nie będzie nieczem niższą od meżczyzny. Najdrobniejsze życia szczegóły, spełniane zawsze z myślą zwróconą do rzeczy wielkich, stają się składowymi częściami wielkości i kobieta w skromnym zakresie swych obowiązków niewieściach—kobieta, która jest wychowawczynią dziecka, towarzyszką meżczyzny, naczelniczką domu, nie jest niższą od nikogo, bo praca jej, jakkolwiek skromna jest niemniej składową częścią postępu. Powiem nawet, że w zakresie sił i prac ludzkich żadna inna zasłuższa, bo użyteczniejsza być nie może. Przez dziecko, które czuć i myśleć nauczyła, ma kobieta swój głos wśród społeczeństwa. Ma go w ogóle każde życie uczciwe, bo jest wymowa czynów ludzkich, dająca się słyszeć najdobitniej w sprawie głosowania między złem a dobrem.

M. Ilnicka.

FRYDERYK MARCIN BODENSTEDT.

(„Mirza Schaffy“).

Dnia 18 Kwietnia zmarł w Wiesbaden jeden ze znakomitszych poetów niemieckich Fryderyk Marcin Bodenstedt, postać głośna i wybitna w Niemczech, w literaturze zaś wszechświatowej wslawiona swemi „Pieśniami Mirza Schaffy'ego.“

Bodenstedt urodził się dnia 22 Kwietnia 1819 r. w Peine, w królestwie Hanowerskiem. Rodzice kształcili go do zawodu kupieckiego, ale on rychło sobie uprzykrzył kupiectwo, porzucił je i poświęcił się studiom w uniwersytecie getyngenskim, później w monachijskim i berlińskim, ucząc się przeważnie historii, filozofii i filologii. Po ukończeniu uniwersytetu był nauczycielem w Rossyi, zkąd też, w 1845 roku, wyruszył przez Krym na Kaukaz i do Azji Mniejszej. Podróż ta zabrała mu rok czasu i głównie przyczyniła się do uwydatnienia jego poetycznego talentu, tu bowiem zebrał Bodenstedt twórczo do swoich „Pieśni,“ które w 1851 r. ukazały się w Berlinie w pierwszej edycji p.t. *Die Lieder des Mirza Schaffy* i zmistyfikowały cały świat literacki i naukowy, nie tylko niemiecki.

Rzecz się tak miała. W gymnazyum tyfliskiem wykładał Bodenstedt łacinę i tam poznał się z prawdziwym Mirzą Schaffy, którego sam uczył poniemiecku, a wzamian za to brał od niego lekcje języka i literatury arabskiej, jako też perskiej. Mirzie Schaffy'emu zawdzięczał Bodenstedt poznanie Wschodu, które uzupełnił jeszcze swoją bystrą obserwacją nabytą w podróży. Mając lat 27, opuścił przyszły poeta Rossyę i wrócił do Niemiec, a w pięć lat później ukazał się tomik powyższych pieśni, na których Bodenstedt figurował tylko jako tłómacz, a Mirza Schaffy miał być ich twórcą. Dziwny nastrój tych pieśni, powietrze, słońce, krajobraz wschodni, koloryt społeczny, zwyczaj, obyczaje oddychające Wschodem, stroje Wschodu, przy żarze namietności południowej nadały pieśniom

Bodenstedta tak zdumiewające znamiona rzetelnie prawdziwej poezyi wschodniej, że autor dopiero w pięćdziesiątej dziewiątej edycji wyjaśniwszy całą prawdę, dał poznać światu istotnego twórcę: był nim poeta urodzony, nie pod gorącym słońcem Persyi lub Arabii, ale najrodowitszy Niemiec.

Szczególniej kobiety zachwycaly się temi piosenkami, tą gorącą, palającą poezją, pełną życia, i nietajonego, niekłamane uczucia. Bo i jakże można było nie pamiętać takich szczerze natchnionych pieśni, po przeczytaniu ich zrazu może tylko z obowiązku jako nowości? Dźwięki ich nie mogły przebrzmieć, jak szum spokojny drzew; musiały rozgrzewać młodociane serca.

Naturalność, nie konwencyonalność, uczucie proste, otwarte, szczerze, wyróżniało poezją Bodenstedta od całej ówczesnej, przeważnie rozwichrzanej lub płaczliwej, poezyi niemieckiej. Nie był to erotyk Heinego, o pięknej formie, ale sarkastyczny, pełen żółci i niewiary. Poezje Bodenstedta były również proste, lekkie, namietne, ale inaczej, zdawałoby się nawet, że poza namietnością kryje się w nich wprost realizm dzisiejszej szkoły francuskiej, zwłaszcza gdy czytamy, naprzykład, wiersz „Hafiza.“

Gdy przemknie leciutkim krokiem
Rozkoszna twa przedemną postać,
Patrzę rozognionem okiem,
Pragnieniom nie mogąc sprostać.
Z ramion spływa tajemniczo
Przejrzysto-biała zasłona,
Oczy jasnym ogniem świecą,
Na głowie z pereł korona.
Czarnych gęstych włosów zwoje
Na łabędzią płyną szyję...

Barwnej, wschodnim kolorytem promieniającej opisowości wiele można napotkać w poezji Bodenstedta. Obraz plastyczny wychyla się mimowoli z ram bogatych, utkanych kwiatami pól południowych. Barwy te są jaskrawe, silne: liść spieczony od słońca nabiera na swą zieloność jakichś barw tęczyowych lub brunatnych odcieni; kwiat iskrzący się bujnością życia, potrzebuje słońca. Na tym krajobrazie kobieta nie znosi szarego kolorytu, ani w zewnętrznej postaci, ani na falach swych uczuć. Namietność musi być płomieniem, silnym, może nawet przepalającym; ale uczucie w poezjach Bodenstedta nie jest nigdy powiklane w ironiczną subtelność Heinego. I ta prostota właśnie zrobiła swoje.

Nie dokładnie było dotąd edycyistych pieśni—nie wiem; w roku 1889 ukazało się już *setne trzydzieste* wydanie *Pieśni*. A nie znudziły się one dotychczas nikomu, nie osłuchały zawdzięczać to zaś muszą owej szczeroci swojej i prostocie.

Oto jeszcze jedna:

Czemu się wzdragasz, piękna jagódko,
Gdy koło twego przechodzę domu,
Chwytam za rączkę twoją milutką,
O całus błagam cię pokryjomu?

Kto tyle pieśni wysnuł dla ciebie
Tyle dał kwiatów, blasku i dłoni,
Temu przebaczą nawet i w niebie
Ten jeden całus, ten uścisk dłoni.

Z twych pocałunków zrobię piosenki,—
Dźwięczne piosenki z cichej rozmowy;
A każde nowe ściśnienie ręki
Do pocałunków da powód nowy.

Śpiewa Bodenstedt niejedną pieśń na cześć pięknych dziewcząt z Tyflisu, które lubią stroje, świecidełka, klejnoty, wszystko co dać może zbytek; zachwyca się tańcem Hafizy, bo jakże być nieczulym:

Gdy tańczyć zaczyna dziewczęta
Przy cudnym blasku księżycy...
Jak moja, tak lekko, wdzięcznie,
Żadna nie tańczy dziewica...

Więc mędracy, co właśnie z szynku,
Wracają do domu cięci,
Rozwarłszy usta i oczy,
Przystają pomimo chęci.

Nawet ten z dwiema szablami
Nusztahid pobożny stary
Połyka ślinę i mruczy:
„W tańcu Hafizy są czary.“

Taniec czarowny Hafizy
Umarłych nawet dziś wskrzesza,
Nic więc dziwnego, że tańczy
Wraz z nami pobożnych rzesza.

A nawet niedługo zaczyna
Tańczyć i bujać się w miarę
Wokoło nóżek Hafizy
Meczetu kolumny stare.

Zdawałoby się, że w poezji Bodenstedta znajdujemy tylko ową prozę realną z końca dziewiętnastego wieku, tak te obrazy są prawdziwe; a jednak wszystkie te strofy tylko na pierwszy rzut oka zdają się orędowniczkami namiętności nieokiełzanych szkoły, która tak niedawno była jeszcze *dzisiejsza*. U Bodenstedta znajdują się prawdziwe perły poezji i każda strofa, przy swojej plastyce i realizmie, posiada wdzięk szczerzego uczucia.

Ażebym, o ile możliwości, określić tę pierwszą pracę Bodenstedta, muszę zwrócić jeszcze uwagę na aforyzmy, które poeta wzorował na pojęciach filozofii domorosłej wschodniej. Powstały one niezawodnie tak, jak powstawały wszędzie przysłowia. Każdy naród ma właściwą sobie filozofia w swoich przysłowia. Dla poetów jest ona „mądrością ludów.“ Nie wiem czy zdanie to wytrzymuje krytykę, to pewna, że przysłowie często może być przedstawicielem „chłopskiego rozumu“ a lepiej jeszcze owego starożytnego *sensus communis*, do którego każdy coś swojego własnego dorzuca.

Bodenstedt najwięcej go daje w oddziale zatytułowanym „Piosenki i różne zdania.“

Sporo tu głębokich myśli, charakteryzujących rzecz dobrze i dobitnie, a przytem potracających o najgłębsze i najważniejsze zadania i stosunki życia.

Mędrzec obejść się może bez możnych pomocy;
Bez mędrca możni łupem stają się niemocy.

albo też inny aforyzm:

Lepiej żyć bez uznania, wartość mając wielką
I pracy pożytecznej poświęcić swe lata,
Anizeli, niesłusznie wzbiwszy się do góry,
Wobec siebie być małym, wielkim wobec świata.

Albo to „Przysłowie arabskie,“ o raju ziemskim człowieka“ na końskim grzbiecie, w zdrowiu stałem i w sercu dobrej kobiety.“ Głębszym jest aforyzm zawarty w trzynastej piosence:

Dwa wielkie prądy ma tu duch człowieczy:
Jeden myśli i czynu—twórczy i głęboki;
Drugi pełen instynktu, by w wyborze rzeczy
Drogą prawdy i piękna kierować swe kroki.

Jak je ceniono, te „Pieśni Mirzy Szaffego,“ dosyć powiedzieć, że wkrótce po ujawnieniu swego autorstwa Bodenstedt otrzymał powołanie na dwór króla Maxymiliana Bawarskiego, który zaszczylił go, jeśli nie tytułem, to stanowiskiem poety nadwornego. Równocześnie objął wrzekomy Mirza Schaffy wykłady literatur słowiańskich na uniwersytecie monachijskim, a następnie również w tej wszechnicy wykładał historię literatury angielskiej. Z epoki tej mamy kilka cenniejszych prac Bodenstedta, a pomiędzy nimi jedna: *Die Völker des Kaukasus* wydana w Berlinie 1855 roku, dała cenną charakterystykę tych ludów z barwnym zarysem cywilizacji wschodniej. Na trzy lata jeszcze przedtem wydał Bodenstedt nowy zbiór poezji swo-

ich p. t. *Gedichte*. W wykładach literatury angielskiej wiele miejsca poświęcał Shakespeare'owi a z tych studyów urosła potem praca krytyczna: *Shakespeare's Zeitgenossen und ihre Werke*, w trzech tomach, wydana w Berlinie między 1858 a 1860 rokiem.

Te studia nad największym dramaturgiem świata zaleciły Bodenstedta księciu meiningenskiemu: w r. 1867 otrzymał autor pracownego dzieła, a profesor monachijski, powołanie do Meiningen na intendentu teatru. Pod jego zarządem scena tamtejsza wkrótce stała się prawie doskonałą i wzorową. Stoi ona dziś na wyżynie pierwszorzędných europejskich teatrów, a zawdzięcza to Bodenstedtowi, który niesłychaną dokładnością w pracy nad wystawieniem sztuk, dobozem ich poważnym i jakimś uświęcającym tchnieniem swego smaku, rozumu i wiedzy, wytworzył ożywczą tradycję. Przez 10 lat pracował on usilnie, ogłaszał prace swoje drukiem i zajęty był powierzoną mu instytucją. Po ogłoszonej jeszcze w 1859 roku pracy *Tausend und ein Tag im Orient* nastąpiły inne, opisowe, jak: *Heimat und Fremde* a następnie kilka dramatów i komedii, w których największem uznaniem cieszyły się: tragedia *Demetrius* (1856 r.) i komedia *König Anthariss' Brautfahrt* (1860 r.). Zasłużył się również Bodenstedt niemieckiej literaturze jako wyborny tłumacz poetów obcych. Shakespeare'a tłumaczył wzorowo kilka dramatów; wielkiego Williama do dziś dnia na meiningenskiej scenie utrzymuje się w jego przekładzie.

Jeżeli dodamy do tego, że zmarły przez czas dłuższy prowadził i redagował pismo *Tägliche Rundschau*, to będziemy mieli mniej więcej dokładne przypomnienie prac tego poety, który do 1877 r. niezwykle był czynnym.

Wycofawszy się z ruchliwego życia, osiadł poeta w zamku Dornau pod Altoną i oddał się wyłącznie pracom literackim; w trzy lata przeniósł się do Berlina, nie zabawił tu jednak długo i jakkolwiek liczył już z górą lat sześćdziesiąt, niebaczając na strudzone ciało pracą i wiekiem, udał się do Ameryki północnej, a następnie, powróciwszy ztamtąd, zapragnął raz jeszcze zwiedzić krainę, w której doznał pierwszych uroków młodości: udał się na Kaukaz i do Azji Mniejszej, następnie przez Turcję powrócił do Niemiec.

Teraz zajął się przerobieniem swych dawnych prac; poprawił je, uzupełnił, prawie nanowo przepisał. Wydanie ich uwieńczyło długoletnią, rozgłosną dodatnią działalność literacką Bodenstedta. *Pieśni* czytane były ciągle i rozchwytywane, a mistrz już w spokoju dożywał lat swoich w Wiesbaden, gdzie osiadł po powrocie z podróży. Starość coraz bardziej opanowywała tego silnego i pełnego odporności ducha. W ostatnich czasach złożył już Bodenstedt pióro i wyczekiwał chwili, kiedy mu przyjdzie wypocząć po długoletniej pracy — samego życia. Od czasu do czasu tylko zapobiegliwy nakładca berliński Schenk (firma Deckera), przysyłał mu nowy tom korrekt „Pieśni Mirzy Szaffego,“ o które coraz-to nowe dopytywały się pokolenia.

Wiktor Czajewski.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Głińskiego.

(Dalszy ciąg).

Zygmunt trzymał ją w objęciu i drżał. Wielka bladeść pokryła mu czoło, serce biło nierówno, jakby coś tamowało obieg krwi. Zły cień, o którym wspomniła Zosia, w lekkich konturach zarysował się przed nim — piękny, kuszący cień! Czuł, że spod jego władzy nie będzie miał siły się wydo-

być; że, że... gdyby mu Atlas swych ramion pożyzył, nie użyłby ich na odtrącenie tego nieba, lecz wszzerz-by je roztworzył iniebo z gwiazdami wszystkimi w objęcia swoje zagarnął... Tak! małoby mu było i tego! Powietrze-by wszystkie wypił, wchłonił w siebie, byleby tylko tem niebem, tem powietrzem—była ona! I cóż on winien, że uległ czarowi mary uroczej? co winien, że całym żarem krwi ku niej zapłonął?... Miałże się wyrzec szczęścia, rozkoszy, tego szalu, który mu tamta dawała, który go w niebieskie unosił krainy... dla jednostajności małżeńskiego życia, dla pocałunków — słodkich — lecz znanych mu tak dobrze, jak sok malinowych jagód? Czy uciekać od tej, która jak bluszcza na ramionach jego zawisała i szepce mu słowa miłości wiecznej?... A jednak?...

Przypomnił sobie lata z nią przeżyte, przechadzki wieczorne, to ciepło serdeczne, które jakkolwiek nie paliło żarem, lecz grzało promieniami wiosennego słońca, budząc jakieś święte uczucia, spoczywające na dniu jego duszy; przypomnił tę Zochnę z taką ufnością wspierającą się na jego ramieniu, wierzącą w jego mężką siłę i wolę mężką. Teraz on to serce ciche, dobre, kochające — zdradzał!...

— Nie! nie! — zawołał w duchu — Skalscy dotąd żadnej nie popełnili podłości!...

— Podłości? — szepnął głos sumienia. — Tyś już popełnił ją!... Natalia na swoich ustach czuła ogień twych ust, tyś i jej mówił: kocham!

Mgła ciemna na oczach mu usiadła, spletały się myśli — omdlał.

Jak długo pozostawał w tym stanie zupełnej bezwiedzy — zgadnąć nie umiał. Gdy oczy otworzył, był sam. Zosia z objęciem mu się wyrwała, gdy on walczył z falami myśli; wbiegła szybko do swego pokoju, by resztę leż z oczu swych zetrzeć i spokojną, uśmiechnioną stanąć przed nim.

Pierwszą Zygmunta myślą, po przyjeździe do przystanku, było — upewnić się, czy czasem z bocznej kieszeni surduta list nie wypadł, otrzymany chwilą przed tem, gdy stanął przed Zosią i w łzach ją zastał. List był adresowany do niego, tajną pocztą wysłany, widocznie z obawy, ażeby nie chybił adresu i do niepowołanych rąk się nie dostał. Zygmunt na kopercie poznał rękę szambelana — list zawierał te słowa:

Mon bien aimé Zyz!...

Niech cię nie dziwi, że stałem się wypadkiem świadom twej tajemnicy. *Dans notre monde* tajemnice tego rodzaju są bardzo zwyczajne, *mais elles sont bien dissimulées*. Prawda, że ja szczególnie mam dar od nieba dany, za pomocą którego najgrubsze częstokroć zasłony, *transparentowe* są dla mnie. Domysliłem się, a może to jest coś więcej niż domysł... Bądź co bądź, jesteś *homme de fortune*, dziecko szczęścia, wybraniec losu. *Mais n'oubliez pas, cher Zyz*, że serduszek pięknej N... przylgnęło do ciebie całkowicie; że perły takiej nie porzuca się łatwo, że ona, mogłaby być ozdobą niejednej korony — tymczasem nad wszystkie względy świata, nad opinią — przeniosła ciebie, *cher Zyz*... Nie mam ci potrzeby mówić, że co ja wiem, tego nawet powietrze w domu moim wiedzieć nie ma prawa. *Ernestine m'a dit* (o nią bądź zupełnie spokojny), że wkrótce otrzymasz list pewien — przepełniony słodyczą i wonią róż... *Adieu, cher Zyz, tout à vous.* Pirski.

Ten to list odebrany przed chwilą wzburzył pana Zygmunta i wytrącił go z chwilowej równowagi. Odczytawszy go raz jeszcze uważnie, łagodniejszy sąd wydał o swoim postępku. Szambelan przecie wie jak bywa na świecie, co uchodzi, czego unikać, a z czem się ukrywać potrzeba. Przed głosem własnego sumienia, jak tarczą, frazesami szambelana się osłaniał. Nie chciał wiedzieć, że tak czynią tylko mali i słabi. On rad był, że miał na kim się oprzeć i coś przed sobą postawić. Nadzieja wspomnianego listu — w liście — wróciła mu humor i żywłość. Ciśniej tylko maskę na twarz swą nałożył, kazał się ustom uśmiechać i tą maską twarzy i ust uśmiechem oszukiwać biedne serce Zosi.

Dni następne nplynęły już nie tak męcząco. Zygmunt był weselszy, choć znać było pewną gorączkę w tej wesołości, choć nie mógł ukryć niepokoju, jaki nim miotał.

Co drugi dzień przychodziły listy z poczty: rozrywał koperty pośpiesznie i rzucał okiem na podpis. Widocznie spodziewał się innych listów, niż te, które nadsyłało. Papier zrazu niecierpliwie w ręku zaszeleścił, później, odczytany spokojnie, szedł pod przycisk albo rozdarty do kosza się dostawał. Wreszcie, jak gdyby się znużył daremnie o czekiwaniem pożądaną wiadomości, obojętniej już brał listy do rąk, wiedząc, że w nich nie znajdzie tego, czego szukał.

Zosia z radością zobaczyła zmianę w usposobieniu Zygmunta. Zamyślał się wprawdzie częściej i dłużej, ale nie był w odpowiedziach tak szorstki, jak w pierwszych dniach powrotu z Brzezina. Pobladł wprawdzie, lecz czoła nie chmurzył, nie unikał jej towarzystwa, szukał nawet, gdy czas dłuższy bez niej zostawał.

Zajęci tak, każde sobą, zapomnieli zupełnie o Korabiezu, który nie odpoczywał chwili w pracy; do snu się nie ułożył, dopóki go nie zwałił nadmiar trudu. Żył nie chciał: trud, praca, poświęcenie bez granic—to jedyne samobójstwo godne człowieka; tymczasem zapomnienia i ukojenia szukał. To ostatnie znalazł w części, tamto silniejsze nad jego wolę było. Lecz zablizniały się krwawe rany serca, owładnął nim spokój grobowy, jakaś cisza cmentarna, wśród której, niby cienie umarłych, przesuwały się niewyraźne wspomnienia, jakieś pragnienia senne, rozwiane w mgłę nikłą marzenia. Rad był z tej ciszy, jaką mu się udało całym wysiłkiem woli swej zdobyć; rad był, że Skalscy zapomnieli o nim. Był spokojny i dumny zarazem odniesionem nad sobą zwycięstwem.

Nie pozostawał jednak za obrybem wszelkich wiadomości ze świata. To ztąd, to zowtąd jakaś wieść doszła do niego. Wiedział, że Natalia bawiła dotąd w Brzezynie, tylko, że zamieszkała w letnim pałacu szambelana, który go kazał według modelu danego przez piękną panią odnowić. Doszło do jego uszu, że pan Zygmunt sposepniał jak noc, że Zosia miała czasem powieki od łez czerwone. Ta wiadomość zbudziła w nim wszystko, co już się do snu było układało. Przypomnił sobie ostatnią wizytę Zygmunta, i jak lew się porwał...

— Nie pozwolę!—krzyknął.

Ba! a cóż on na to mógł poradzić?

Opuścić ręce bezwładnie.

Lecz oto u dworu poprawiły się stosunki. Panu Zygmunтови humor powrócił, Zosi uśmiech na usta. Przypuszczenie rozwiało się jak dym. Korabiez wrócił do dawnego spokoju i pracy.

Ogarówka leżała o parę wiorst od głównego traktu, który, niegdyś wysadzany, dziś przetrzebionymi przez zab czasu, topolami—biegł równo i ginał w cieniach oddalonego lasu.

Droga idąca ze wsi pana Zygmunta przecinała prawie pod kątem prostym ów trakt i, wijąc się węzłem, szła wśród pól do wsi sąsiedniej, zarysowującej się we mgle na widnokręgu.

W punkcie, gdzie krzyżowały się drogi, stały trzy karczmy, *Niezgoda* zwane, należące obecnie do pana Zygmunta, ale nie wszystkie przez Skalskich stawiane. Gdy Ogarówka była jeszcze wielką kolokacją szlachecką (karczem wówczas nie było) gruntu trzech zamożniejszych panów braci schodziły się przy rozstaju. Ponieważ trakt główny łączył dwa oddalone od siebie o mil kilka miasteczka, mające przywilej jarmarków, ruch więc na trakcie był nieustanny. Skrzypiały drabiniaste wozy, konni i piesi sunęli na targi, jeżeli nie z myślą kupienia czegoś lat sprzedania, to dla zabawy i rozejrzenia się po świecie. Stary Skalski umyślił skorzystać z dogodnej miejscowości. Z jednej strony dla wygody podróżnych, z drugiej dla zysku własnego, postawił na gruncie swoim, przy zetknięciu się dróg, niewielką, ale porządną karczemkę i za dobrą cenę w arende puścił. Panowie sąsiedzi, z dziada pradziada siedzący na swoich śmieciach, którym dotąd na myśl nie przychodziło postawienie przydrożnej karczmy, uczuli się naraz pokrzywdzonymi. Pierwszy pan Protazy Burezewicz sarkać zaczął:

— Cóż to? ten Skalski ma się za lepszego ode mnie, że mi pod sam nos wlaź ze swoim karczemskim? Ja, mocium panie, już dawno nośm się

z myślą postawienia zajazdu, a ten mi prosto z głowy projekt mój wykradł. Dobryś ty; ale i ja nie zgorszy!

Jak się zawinał, stanęła druga, poważniejszych rozmiarów nawet, karczma naprzeciw. Arendarz Skalskiego zaczął narzekać na zmniejszenie się zysków, tem bardziej, że pan Protazy na swoją rękę wziął propinację i, bratanka za szynkwasmem posadziwszy, o dwa procent taniej wódkę puścił. Skalski uśmiechnął się,—lecz Protazy twierdził, że zzieleniał ze złości—zmniejszył arendarzowi czynsz, pomimo to miał dosyć. Ale od czegoż pan Maciej Zacierka?

— Skalskiemu wolno,—wołał dyszkantem—bawie się w pana, bo więcej mu pola, niż my wszyscy zagonowcy razem wzięci, ale Burezewiczowi wara mi imponować!

Niewiele myśląc, trzecią karczmę postawił frontem do dwóch już stojących. Zaczęła się konkurencja, walka na zniżkę, wreszcie jawna wybuchła niezgoda i zerwanie wszelkich sąsiedzkich stosunków, zakończone niszczącym procesem. Pogodził dopiero zwaśnionych stary Skalski, odłужone gruntu wraz z karczmami kupując. Nie stało dawnych właścicieli, Ogarówka prawie cała, z wyjątkiem części Korabiezów, do Skalskich przeszła, nadana jednak przez lud nazwa *Niezgoda* przy karczmach została.

Goście jadący do pana Zygmunta z powodu bliskości wsi, nie zatrzymywali się nigdy w tych karczmach, krom jednego szambelana, który, zważając na wygląd swojej postaci, wczasie swej pierwszej wizyty u Skalskich, przesiedział tu godzin parę. Pan Zygmunt, jeżeli nie miał specjalnego interessu do arendarza, nie zazielał do nich wcale, i tylko w sąsiedniej Wacchrówce zatrzymywał się nieco, by odpoczynek dać koniom.

Było to w połowie Stycznia. Na dworze mróz skrzył się brylantami, żadna chmurka nie pokrywała rozjaśnionych błękitów, nawet lekkie białe obłoki, te codzienne goście pogodnych dni naszego nieba, rozprysły się w mgłę niewidzialną, a ścisnięte zimnym oddechem mrozu napełniły przestrzeń cały, skłinięciem pyłkiem srebrzystych iskier. Na lewo i prawo rozciągała się przestrzeń równa, gładka, pokryta białym puchem śniegu; w dali, na tle błękitu, rysowały się osypane śronem kontury drzew ogarówieckiego parku; dymy chat wiejskich równym słupem wznosiły się ku niebu, zmieniały się w lekkie obłoki i rozpyływały w kryształowym przestworzu.

Godzina była wczesna, słońce zaledwie podniosło się nad horyzont; lecz choć rzucało snopy olśniewających promieni, ciepłem nie grzało, przeciwnie, im szło wyżej, tem mróz się wzmacniał, śnieg przykro skrzypiał pod nogami idących i w mialki rozsypywał się piasek. Przed karczmami cicho było i pusto; psy nawet do swych bud się ukryły i, zwinąwszy się w kłębek, drzemały, drząc od chłodu; wróble tylko nie zważały na figle zimy: z dachów karczem zlatywały gwarna gromada na ziemię i, biorąc na swe skrzydła mialki puch śniegu, trzepotały się, skacząc i świergocąc wesoło.

Zaledwie słońce rzuciło pierwsze promienie, gdy na dalekim horyzoncie ukazał się punkt ciemny, który posuwał się szybko, rósł i prosto zmierzał ku trzem karczmom, drogą do Ogarówki wiodącą. Arendarz stał właśnie przy oknie i kiwał się, twarzą zwróconą na wschód, modlitwy szeptał; po chwili przestał mruzczyć, zbliżył się do szyby i zaczął patrzeć uważnie. Nagle rzucił się szybko do drzwi, otworzył i wyskoczył do sieni.

— Tenhen! — huknął na parobka, krzątającego się po stajni.

— A hej!—odpowiedział wołany.

— Tu niema „a hej.“ Ty, paskudnik! tylko chodź a bramy odmykaj, bo goście jadą!

— Jakie goście?—zapytał parobek.

— A tobie co, jakie goście?... Nu! do ciebie one nie jadą, ale do mnie!... Pan z Brzezina—słyszysz ty cham? On tu zajedzie i dobry zarobek da... *Szneler!*...

Tenhen skoczył i zaledwie bramę do sieni otworzył, gdy karetą szambelana, osadzona na saniach, wyjechała do środka.

Ruch zrobił się w całej karczmie. Tenhen wpadł do stajni, by żłoby dla szambelańskich koni przygotować, Abram poważnem uchyleniem czapki wi-

tał przybyłego, a w drzwiach, do gospodarskich izb prowadzących, ukazała się Taube z kilkorgiem bachorków przy sobie, białych jak mleko, o czarnych dużych oczach i włoskach kręconych! Kamerdyner otworzył drzwiczki karety i podał rękę szambelanowi.

— Witam, jasnie pana — gładząc z powagą złoistą brodę, odezwał się Abram do wysiadającego w paradnem futrze gościa.

— Brr!...—zawołał Pirski, zacierając ręce—co za mróz!...

— Niech jasny pan do pokoju zajdzie i ogrzeje się. Tylko co ja w piecu napalić kazał, jakby wiedział, że jasny pan szambelan psyjedzie.

— Każ waćpan bramy pozamykać, bo ciągi straszne—rzucił Pirski.

Rozkaz natychmiast był spełniony.

Po chwili szambelan wszedł do ogrzanej izby, do której kamerdyner wniósł dywany, poduszki i dużą tualetę w skórzanym pokrowcu. Stary Abram, który zwykle gości swoich rozmową bawił, nie chcąc i teraz pójść wbrew zwyczajowi, zatrzymał się parę kroków od progu i zaczął:

— Jasny pan pewnie do pana Skalskiego?

— *Fort!*—rzekł krótko Pirski.

Arendarz zniknął za drzwiami, choć to: *fort!* było skierowane do kamerdynera, który skłoniwszy się szambelanowi, opuścił pokój.

Pirski zatarł ręce, spojrział na pułap, palcem dotknął szpary w napół pękniętym piecu—który, mimo zapewnień Abrama, nie cieszył się zbyt wysoką temperaturą—czmychnął nosem, w kąt splunął i zaczął przechadzać się wzdłuż izby, co chwila w okno patrząc. Na twarzy szambelana znać było jakieś podniecenie, brwi drgały mu szybko, czoło poprzecznymi rysowało się zmarszczkami, nozdrza niespokojnie wachlowały. Wtem tentent dał się słyszeć na ubitym przed karczmą gościńcu. Szambelan podszedł szybko do okna i spojrzał przez szybę, pokrytą w trzeciej części fantastycznymi kwiatami mrozu. — Przed oczyma Pirskiego mignął kozak na koniu: mknął szybko drogą do Ogarówki...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZY KSIĘŻYCU.

Przy otwartem oknie nocą
Siedzę sama, marzę, roję:
Wszystko śpi i tylko czuwa
Jeszcze biedne serce moje.

Błogim snem spowite leżą
W koło ciemnych gór gromady;
Przez okienko zajrzał do mnie
Współtowarzysz—księżyc błądy.

Wpół ciekawie, wpół litośnie
Patrzy w łzami zaszłe oczy—
Smutny ty mój towarzyszu,
Ty znasz ból, co pierś mą tłoczy:

Tys, jak ja, wędrowiec wieczny
Idziesz, gdzie cię los prowadzi;
Obojeśmy już zmęczeni....
Ach, oboje spocząć radzi....

JANUARY.

Powieść współczesna

WALERYI MARRENE.

Wybór pism głośnej powieściopisarki naszej rozpoczyna najcieńszą niewątpliwie powieść

jej p. t. *January*. Głównym bohaterem jest tu młody literat, odznaczający się, nie tylko głębszym wykształceniem i wrodzonymi zdolnościami umysłowymi, ale i niepospolitą siłą charakteru, co, razem wzięte, zapewnia mu wyższość i pierwszeństwo wobec jego kolegów po piórze, uwielbiających go w milczeniu lub z pewną zawiścią ukrytą chwytających starannie okrucy jego myśli, aby je później zużytkować w swoich artykułach.

January, nie znając wcale świata towarzyskiego, salonowego, nie stykając się nigdy bliżej z kobietami, posiada o nich bardzo błędne wyobrażenie. Wprawdzie, jako postępowiec, kwestyi równouprawnienia kobiet niema w zasadzie nie do zarzucenia, mniema jednak, że skutkiem długoletniej woli kobieta współczesna jest karłem duchowym i fizycznym — istotą zdenerwowaną, której umysł zdolny jest tylko trzymać się rutyny lub wpadać w najdziwsze abstrakcje. Takie atoli przekonanie nie przeszkodziło mu bynajmniej zając się żywo piękną sąsiadką i odrazu zapłonąć ku niej silną, niepohamowaną namiętnością. Bohater nasz z wiedzą człowieka bardzo wykształconego łączył w sobie usposobienie poety; a taka dwoistość natury mogła być dla niego bardzo niebezpieczną w życiu; człowiek taki niełatwo wprawdzie ulegał pokusom zewnętrznym, ale raz owładnięty, poddawał się im już bezwzględnie, co stawało się jeszcze tem niebezpieczniejszem, że na usprawiedliwienie chociażby najszaleszego kroku mógł łatwo w wyćwiczonym szermierką umyśle swoim znaleźć zawsze potrzebne argumenty.

I teraz właśnie występują one w całej swej sile; January usiłuje nie tylko usprawiedliwić przed sobą samym swe uczucie dla kobiety zameżnej i matki dwojga dzieci, ale prócz tego wyczerpuje jeszcze cały zapas argumentów, aby ostatecznie przekonać Helenę o konieczności poddania się temu uczuciu. Jest on marzycielem, jak słusznie zauważył jedynie może prawdziwy przyjaciel jego Ignasz, urabiającym zawsze świat rzeczywisty na podobieństwo swych marzeń; dotychczas atoli poprzestawał na dziedzinie myśli, obecnie wszedł w krainę uczuć. Względem towarzyskim nie istniały dla niego nigdy, tembardziej dzisiaj je lekceważy i nie dba zupełnie o to, co świat powie na jego stosunek z meżatką, wszystkie zaś skłopoty czysto moralnej natury, rodzące się w sumieniu własnem, potrafił z przedziwną umiejętnością usuwać za pomocą dyalektyki, w której celował. Tym samym orężem walczy jednocześnie z Heleną, ponieważ, jak chce autorka, „spotkał się tu z wyrobieniem intelektualnem o wiele szerszem i głębszem, niż je ogół kobiet posiada; spotykał nawet to, na co nie rachował wcale: konsekwentność i logikę pojęć, tłómaczące poczęści ten wielki i dumny spokój, jaki bił z jego czoła.

Wbrew zwyczajowi kobiet, Helena zdawała sobie sprawę ze swego położenia, wiedziała, do czego dąży, jaki cel postawiła sobie w życiu. Podobne istoty nie upadają w chwili zapomnienia, nie dają się pochwylić przez rozigrane nerwy, ani przez nieokiełzaną fantazję; nie są ofiarą pierwszej lepszej woli, ale bronić się umieją. Ażeby je zdobyć, trzeba naprzód zdobyć ich przekonanie. Tak mówi autorka i tak każe wierzyć Januaremu; ale w istocie rzeczy Helena jest bardzo daleką od takiego typu kobiet. Niewątpliwie występuje ona w powieści jako kobieta wyższa pod każdym względem od tego pierwowzoru, który January urobił sobie w swym umyśle, jednakże z drugiej strony, ani swem wyrobieniem intelektualnem, ani logiką pojęć nie różni się wcale od ogółu kobiet rozumnych, a nawet pod względem siły woli znacznie niżej stoi od nich. Związana węzłami małżeńskimi z panem Tytusem, człowiekiem poeciowym w gruncie, ale bardzo poziomego umysłu i pragnień, zadowolona jest najzupełniej ze swego losu, ze swego cichego życia domowego, pędzonego w gronie rodzinnem wśród dostatków materialnych.

Gdyby Helena w istocie, jak chce autorka, była kobietą wyższą pod każdym względem nad ogół płci swojej, niewątpliwie pomimo całej miłości swej dla meża ograniczonego rozumiałyby i odczuwały jego niski poziom umysłowy i brak wszel-

kich bardziej idealnych popędów jego ducha; tymczasem bohaterka nasza nawet nie zdaje sobie sprawy ze swego „szczęścia“, z tych warunków życia, w których jest postawiona; kocha meża i nie zastanawia się bynajmniej nad tem, czy jednakowym stopniem i rodzajem miłości jest wynagradzana przez niego, czy za złoto również złoto otrzymuje, czy tylko miedziaki; wystarcza jej przeświadczenie, że meż daje jej to wszystko, co tylko dać może, i to ją zadawala całkowicie. Pozornie więc zdawaćby się mogło, że taka kobieta, nie pragnąc dla siebie niczego nad to, co posiada, nie może uleść żadnym pokusom zewnętrznym, nie może być narażoną na szwank, na starcie samej z sobą w przyszłości. Jednakże w głębi ducha Heleny drzeźnią otrzymane w spadku po matce, Włosze, a nieknięte dotąd silne namiętności, cechujące naturę mieszkańców południa. I oto właśnie, gdy się przyjazna nadarzyła pora, namiętności te wybuchają gwałtownie i stopniowo opanowują całą jej istotę. Helena próbuje walczyć z niemi w nadziei odniesienia zwycięstwa prędzej lub później; możeby głos obowiązku był w końcu i zwyciężył, gdyby zkadnąd nie groził jej stokroć silniejszy nieprzyjaciel: zabójczo chłodna i nieublagana dyalektyka Januarego, który, jak rzekliśmy wyżej, uważając Helenę za kobietę, wysoko stojącą pod względem umysłowym, chce przede wszystkim zdobyć jej przekonanie, w tym celu wyteża wszystkie swe siły duchowe i nie cofa się przed żadnymi środkami jakiegobądź natury, byleby tylko one prowadziły do celu.

Przypatrując się bliżej szermierce dwojga tych ludzi, widzimy właściwie nie walkę otwartą i w sposób szlachetny prowadzoną, ale raczej pastwienie się bezlitośne mocniejszego nad słabszą, działanie z jego strony podstępne. January pomimo całej swej namiętności okiem wcale nie zakochanego człowieka, ale przeciwnie: chłodnego i bardzo rozważnego przeciwnika śledzi wszystkie zmiany, zachodzące w duchu przeciwniczki i umie z przedziwną zręcznością skorzystać z każdej chwili przyjaznej dla siebie, aby nowy cios jej zadać i zmusić ją do wejścia na drogę, przez siebie wytkniętą. W potrzebie okazuje czułość, rozręczenie, ale zaraz potem, gdy spotrzeże, iż wypada zmienić pozycję, staje się chłodnym, poważnym, walcząc już bronią swych przekonujących argumentów, chwytając za słówka, niebacznie wyrzeczone przez kobietę, stawiając wszelkiego rodzaju sidła i często zmuszając ją niejako do kapitulacji ironią, tym pono najskuteczniejszym orężem dla pokonania słabszych, pozbawionych energii i samodzielności istot. Takiej trzymając się taktyki, w końcu bohater powieści odnosi stanowcze zwycięstwo. Po długiej i strasznie męczącej walce pomiędzy wzmagającym się co chwila uczuciem miłości, a głosem obowiązku żony i matki Helena zostaje pokonana i obezwładniona ostatecznie: jak dziecię bezsilne lub chore, złożony ciężką niemocą, daje się powodować Januaremu, który, korzystając z chwilowej jej nieświadomości, podstępem niejako uprowadza ją z domu meżowski.

Na tym wypadku kończy się pierwsza część powieści, zawierająca w sobie zarysowany z wielką starannością typ pewnej kategorii literata — pozytywisty najnowszych czasów, człowieka hardego, zarozumiałego i hołdującego tylko rozumowi — egoisty, piszącego wprawdzie świetne artykuły pod względem stylu i doboru argumentów, atoli rozmiłowanego i zamkniętego w sobie samym jak ślimak w skorupie i nie pojmującego zgola tej wielkiej miłości, co nie tylko jednostki, ale i na ogół sływa i do wielkich ofiar nawołuje. January należy do rzędu tych ludzi, co w poczuciu własnej wyższości umysłowej gardzą ogółem, domagając się jednakże hołdu od niego, jak rzeczy słusznie należnej sobie, a, ukochwawszy tylko samych siebie, pracują nie po to, aby dla społeczeństwa możliwie najwięcej korzyści przynieść, ale dlatego, aby zyskać rozgłos i zapewnić nieśmiertelność dla siebie. „Ja chcę — mówi do swych kolegów po piórze — aby idee moje przesiąkły w życie i krew narodu — chcę obalać i budować według myśli mojej gmachy... Ja chcę panować nad duchami, chcę, by w przyszłości zaklinano się na mnie, przysięgano na mnie“.

W piersi takiego człowieka mogą istnieć wielkie namiętności, ale miłość — nigdy. To też w całym postępowaniu Januarego z Heleną uczucie tego nie widzimy zupełnie. Wprawdzie bohater nasz przemawia do Heleny temi słowy: „Miłość — to najwyższe prawo, najrealniejsza potęga bytu, obdarzająca bez rachunku, ofiarna bez poświęceń. Miłość łamie zapory, zwalcza przeszkody, nie zna niepodobieństwa, jest silną jak życie, a nieubłagana jak śmierć. Szczęśliwy ten, co ją spotkał na drodze swojej i odnalazł we własnem sercu“. Ale czyż można wierzyć naprawdę tym szumnym słowom człowieka, co dotąd umiał tylko pomiać drugimi i nie mógł się zdobyć na kilka cieplejszych słów przyjaznych nawet dla takiego oddanego mu duszą i ciałem przyjaciela jakim był Ignasz? czyż można mu wierzyć, skoro niedawno jeszcze przed poznaniem Heleny w ten sposób określał miłość: „Miłość jest to poprostu chorobliwy objaw odbitych wrażeń, jeden więcej dowód wpływu jednostki na ogólnie kursujące doktryny, które mi wszyscy mniej więcej nasiąknęci jesteśmy, a wreszcie — potęgi dziedziczności, której ulegamy“. Zapewne, przekonania i poglądy ludzkie ulegają zmianom i często radykalnym, ale zmiany te w umysłach zwłaszcza dojrziałych odbywają się stopniowo, bardzo powoli. Samo zresztą postępowanie Januarego z Heleną świadczy wymownie, że były to tylko frazesy, których wymagała użyta przez niego taktyka walki. Zapłonął on właściwie, nie miłością ku Helenie, lecz silną, gwałtowną namiętnością, druzgocącą bezwzględnie wszelkie przeszkody na swej drodze i z natury swej niezdolną do żadnych ofiar i ustępstw. Błędem też wydać się może na pierwszy rzut oka wystawienie Januarego przez autorkę w drugiej części powieści, jako człowieka oddanego całkowicie Helenie i myślącego nieustannie o tem tylko, aby uczynić zadość wszystkim jej pragnieniom, aby zapewnić jej spokój i szczęście. Tak istotnie postępuje January, ale gdy bliżej mu się przypatrzemy, musimy przyjść do wniosku, że ta pieczołowitość jego nie wypływa bynajmniej z głębokiego przywiązania do kobiety, lecz tylko z wrodzonego mu durności, dzięki której bohater nasz nie może ścierpieć jakiegobądź chociażby milczących wyrzutów ze strony Heleny, i dlatego właśnie widok każdej najmniejszej troski na jej czole niecierpliwi go i gniewa nie mało.

W drugiej części powieści widzimy następstwa, które fakt połączenia się Januarego z Heleną musiał pociągnąć za sobą. Bohaterowie nasi przez pewien czas mieszkali najpierw w cichym zakątku Styrii, aby ze społeczeństwem swoim nie mieć na razie żadnych stosunków, które mogłyby ich badźco bądź na wiele przykrości narażać, a później, gdy, jak sądzili, wszystko już poszło w zapomnienie, przenieśli się do Krakowa, gdzie January otrzymał posadę profesora uniwersytetu i cieszył się ogólnym szacunkiem. Wprawdzie sakramentalnego uświęcenia związku swego nie mieli, gdyż pan Tytus na rozwód żadną miarą zezwolić nie chciał, jednakże wobec świata uchodzili za parę małżeńską. Helena mogłaby teraz czuć się zupełnie szczęśliwą i zadowoloną ze swego losu tembardziej, że i dwoje swych dzieci miała przy sobie. Ponieważ pan Tytus na oddanie ich matce zgodzić się nie chciał, przeto January wykradł je z domu ojca i kształcił pod okiem matki jak własne dzieci. Zdawałoby się, że do szczęścia tych ludzi niczego już nie brakuje, jednakże w głębi piersi Heleny istniało coś, co jej nie dawało spokoju i napęniało ją trwogą o przyszłość. Ostatnie zdanie pana Tytusa, który wkrótce po ucieczce żony odnalazł jej ukrycie i stanął przed nią, aby rzucić jej słowa pogardy w oczy, wciąż brzmiało jej w uszach i na chwilę nie dawało spokoju. Pamięta ona doskonale, jak oburzony i głęboko czujący swą krzywdę meż w gniewie i żalości rzekł wówczas do niej: „Porzuć, pani, Januarego, osiądź gdzie samotnie, pokutując za to, co uczyniła, bo, pamiętaj, w razie przeciwnym staniesz się nieszczęściem dla niego, nieszczęściem dla dzieci, nieszczęściem dla siebie samej. Pamiętaj, pani, wszyscy ciebie przeklinać będą, jak ja cię przeklinam“.

Tej to właśnie przestrogi i przepowiedni January pomimo całej swej dyalektyki i ironii nie mógł zatrzeć w pamięci kobiety i to go najbardziej

gniewało. Wprawdzie uczynił wszystko, co tylko było w jego mocy, aby spokojną przyszłość jej i sobie zapewnić, ale były takie przeszkody, których nie mógł przełamać: nie mógł mianowicie uzyskać rozvodu dla Heleny, aby móżdż potem wobec ludzi zadasyć uczynić formalności ślubu kościelnego. I to właśnie staje się przyczyną katastrofy, która nagle, jak grom spada na nich: Aniela, córka Heleny, pokochała najulubieńszego ucznia Januarego, studenta Władysława, który również gorącym uczuciem miłość jej odpłacał. Januarego sam wypiastował niejako myśl związku dwojga tych ludzi, uważając go za szczęście dla swej córki przybranej. Tymczasem nagle Władysław opuszcza Kraków, dając Januaremu do zrozumienia, że wobec niezwalczonych przeszkód małżeństwo to do skutku dojść nie może. Istotnej przyczyny tego nie chce wyjawiać, ale wszyscy się jej domyślają; matka Władysława, kobieta prosta, zabrania synowi pod karą przekleństwa żenić się z córką kobiety, co rzuciła męża i pozostaje w nieprawym stosunku z innym mężczyzną. Odtąd Aniela, trawiona wewnętrznym cierpieniem, w oczach matki zrozpaczonej wędruje powoli i w końcu umiera na suchoty. Jednocześnie ze śmiercią córki ginie w pojedynku o honor matki i drugie jej dziecko, syn Lucyan, który dowiaduje się dopiero przed samym skonaniem o nieprawym jej związku z Januarem i wyraża wobec niej w ostatnich swych słowach pogardę dla tego człowieka, jako głównego sprawcy wszystkich nieszczęść. Tak więc fatum nieubłagane zrobiło swoje; dalsze pożyte dwojga tych ludzi było już niemożliwe: pomiędzy nimi stały teraz dwie trumny.

Z tego streszczenia akcyi powieściowej możemy łatwo wywnioskować, że założeniem autorki przy kreśleniu *Januarego*, było rozwinięcie tej niewątpliwej prawdy, że nawet ludzie wyżsi umysłem ponad ogół nie mogą bezkarnie zrywać pęt, które zwyczaj dzięki pewnym pojęciom moralności włożył na jednostki. Januarey wypowiedział walkę ogółowi i prowadził ją z wielką konsekwencją, z zachowaniem wszelkich ostrożności, a mimo to przegrał. Dlaczego? Czy może dlatego, że musiał zatrzeć się z ludźmi o równej mu sile umysłowej, a wyższymi zdrowym pojęciem istoty moralności? czy może dlatego, że się stał z wyższą nieskończonością ponad jednostki idea sprawiedliwości bezwzględnej, tak doskonale streszczonoj w tych prostych słowach: „Nie czyn drugiemu tego, co tobie niemiło“?

W powieści pani Marrené, ani ludzi prawdziwie rozumnych, z których zdaniem należałoby się liczyć, ani nacisku na pogwałcenie idei sprawiedliwości nie widzimy wcale. Januarey, porwijając Helenę straszliwie skrzywdził człowieka, który pod wpływem swej boleści rozpił się i zламаł całe swe życie, i mimo tej krzywdy byłby sobie spokojnie bez żadnych nawet wyrzutów sumienia żył nadal ze współniczką występku, gdyby nie zastarzałe, nierozsądne pojęcia moralności ograniczonej mieszczy, co nie pozwoliła synowi żenić się z Anielką, i gdyby nie plotki garstki felietonistów i reporterów, rozprawiających wobec Lucjana o jego matce w sposób ubliżający cześci kobiecej. Januarey więc przegrywa dlatego jedynie, że większość ogółu składa się z ludzi o zastarzałych pojęciach i przesądach, ludzi, uważających za coś droższego fakt porwania żony człowiekowi uczciwemu i popełnienia go tem samem na drogę zupełnego upadku. Tylko tak, a nie inaczej można wnioskować ze sposobu przedstawienia tej kwestyi w powieści; i na tem właśnie polega największy błąd utworu. Pod względem artystycznym stoi on niewątpliwie bardzo wysoko, najwyżej ze wszystkich dotychczasowych utworów powieściopisarki: znać w niej wielkie wyrobienie pióra, wprawę znakomitą w określeniu dyalogów, a nade wszystko dokładną znajomość duszy ludzkiej, wykazaną w umiejętności i trafem bardzo odmalowaniu tak niezwykłej i u nas nawskróś oryginalnej postaci, jak Januarey. Jedyna wadliwość, jaką można pod tym względem zauważyć, tyczy się charakterystyki Heleny, która, jak to już powiedzieliśmy wyżej, nieczem zgola, wbrew woli autorki, nie wyrasta poza zwykłą miarę przeciętnej, inteligentnej kobiety.

Gdyby autorka ideę kary za czyn Januarego

wywiódła była nie ze sfery ludzi ograniczonych i pospolitych plotkarzy, ale ze świata ukształconego krawdziwie, nie trzymającego się ślepo rury, a jasno zdającego sobie sprawę z istoty i potrzeby moralności, wówczas nadałaby rzeczy całej odwrotne znaczenie. Powieść, skreślona w takim, jak jest duchu, wydaje się niczem innem, jak tylko apologia postępu jej bohatera. inny wniosek dzięki zbytniemu obiektywizmowi autorki nasunąć się nie może. Wprawdzie można tu na obronę powieści powiedzieć, że w życiu niewątpliwie tak się często dzieje, a powieść winna być wzorowaną na rzeczywistości. Nieinaczej;—ale zważmy, że z drugiej strony sztuka piękna, a więc i powieść, musi być czemś nieskończenie wyższem od prostej fotografii, musi być nawskróś przepromienioną i uzacnioną duchem swego twórcy; tembardziej tycze się to powieści, która wśród społeczeństwa dzisiejszego tak ogromną przez wpływ swój i popularność odegrywa rolę. Taki krańcowy obiektywizm, takie staranne ukrycie swych własnych na rzecz poglądów, co właśnie cechuje utwór pani Marrené, uznamy za szkodliwe stanowczo, jeśli zważymy, że powieść nie tylko dla wykształconej o wyrobionych zasadach części społeczeństwa się pisze; przedewszystkiem oddziaływała ona na tłumy i to właśnie każdy piszący winien mieć zawsze na myśli

J. Nitowski.

RUCH MUZYCZNY.

Wiosenne przynęty Euterpy. Nasza muzykalność. — Koncert muzyki.—Requiem Verdiego.

Jakakolwiek pogoda świta na niebie: czy chłód przenikliwy dojmuje a deszcz z gradem upamiętnia ostatnie dni Kwietnia, czy lube słonko Maj oznajmia, grzejąc nadspodziewanie jakgdyby nie wiosennymi promieniami, wszystko to jedno, wierna Muza nie przestaje nęcić, przymilać się, czarować i Warszawiaczy nigdy chyba na brak przyjemności koncertowych użalać się nie mogą. Odwrotnie natomiast, Euterpe mogłaby się poskarżyć na Warszawiaków, iż w zamian za swe dary cenne i szlachetne odbiera częstokroć dowody oziębłości — nieuzasadnionej, co też podaje w wątpliwość sławną podobno muzykalność naszego miasta. Jeżeli szczęśliwym trafem widownia opery naszej lub która z sal koncertowych zapelnionymi bywają, przypisać to należy atrakcyi, która już nie tylko co nowe i świeże, lecz i co zagraniczne w rzędzie wabnych swych przymiotników zawiera.

Po tym wstępie, wymagającym pewnego rozjaśnienia, zaznaczmy koncert benefisowy Zygmunta Noskowskiego, koncert kompozytorski z programem nader interesującym, bowiem oprócz dzieł znanych zamieszczono były nowe produkcje twórcze znakomitego benefisanta. Zdawałoby się iż do tłumnego napełnienia sali reductowej członkom i gościom wystarczy jedna z kilku pobudek, które się nasuwały, mianowicie: zainteresowanie, które powinien budzić wszelki ruch twórczy u nas, uznanie dla pracy, którą Noskowski jako dyrektor Towarzystwa Muzycznego podejmuje, hołd dla jego talentu, wreszcie grzeczność wzamian za jego ohoce zawsze trudy, ilekroć występuje jako organizator koncertów na rzecz niedoli. Tymczasem oczekiwania zawiodły i garstka rzetelnych melomanów i wielbicieli mogła się znowu szeroko po pustych miejscach rozglądać.

Wypowiedziawszy tę smutną prawdę, powrócimy teraz na skromne stanowisko sprawozdawcze, z któregośmy na chwilę zbieżyli. Płodny w pomysły niepospolity kompozytor dał nam tym razem usłyszeć balladę ludową p. t. „Jasio“, rozwinętą obszernie na głosy solowe, chóry i orkiestrę, składającą w utworze tym nieprzebrane bogactwa instrumentacyjne plastycznych niemal efektów. Myśl muzyczna przeprowadzoną tu została w jede-

nastu wariacjach, które pozwalają na ciągły powrót melodii krótkiej, przypominającej typ ludowej zwrotki: w miarę zaś nastroju akcyi, wariacje przybierają charakter już-to dramatyczny, już-to bardziej rzewny, uczuciowy. Szkoda tylko, iż text bynajmniej nie odpowiada formie znanej w poezyi pod nazwą ballady, a wytworzonej przez najznakomitszych naszych poetów, którzy treść, czerpaną zazwyczaj u źródła ludowych podań, wierzeń, fantazyi, przyoblekali w szatę prawdziwie poetyczną, idealną i wytworną. Text w „Jasiu“ w swej pierwotnej prostocie nierzadko o dźwięk trywialny potracając, w rażący sposób nie licuje w obramowaną formą muzyczną, chwilami istny rozdzwitek z nią stanowi, szkodzi nawet muzyce, która kojarzona ze słowy, nadającą się za ledwie do skromnej piosenki, przybiera niemal pretensjonalny, sztuczny nastrój. A przecie staranny wybór poetyckiej treści, która byłaby zdolna prawdziwie natchnienie obudzić, względem na poezję słowa, któraby wraz z poezją muzyki harmonijną i podniosłą tworzyła całość, należy już poniekąd do prądów wieku, stanowi hasło dla wszystkich najznakomitszych kompozytorów tegoczesnych.

W bogatym programie Noskowskiego, oprócz Ballady, udatnej Melodii i Poloneza na wiolonczelę, które wykonał p. Cynk, i kilku pieśni odśpiewanych przez pannę Siemianowską, znajdowała się jeszcze symfoniczna uwertura: „Morskie oko“ tak dobrze nam znana a słuchana zawsze z prawdziwym zachwytem. Cudny obraz natury, ze swemi przemianami, z ciszą i burzą, odbity w duszy kompozytora, wyłonił się w zarysach potężnych, natchnionych a tak wyrazistych, iż zda się, muzyka od malarstwa barw i kolorytów tutaj zapożyczyła. Oprócz utworów benefisanta usłyszeliśmy także parę części z koncertu Fmola Szopena, które odegrał p. Michałowski, pomimo silnej tego wieczoru niedyspozycyi.

Konserwatorium warszawskie przed świętami jeszcze zakończyło swą serją wieczorów kameralnych, dając kwartet smyczkowy Es dur Nr 1 Cherubiniego, Trio B dur Op. 52 Rubinsteina i kwintet C mol Op. 38 Onslowa. Do smyczkowych instrumentów zasiadł zwykły wyborowy komplet, do fortepianu zaś panna Zofia Janczewska, uczennica p. Michałowskiego. Kwartet Cherubiniego jest jednym z tych dzieł, którym pod względem formy i stylu nie zarzucić nie można; będzie on zawsze stał w szeregu bardzo dobrych wzorów dla studyjujących tego rodzaju muzykę, lecz złotej nici natchnienia napróżno-by w nim szukać. Niestety, ową złotą nicią i Trio Rubinsteina nie zbyt jasnie, a w dodatku pod względem obrobienia zamalo materyału przedstawia dla myśli słuchacza. W fortepianowej partyi korzystnie zaprezentowała się panna Janczewska, zastanawiając wielkim już zasobem siły i techniki. Nakoniec kwintet Onslowa, opatrzone komentarzami, zawiera zbyt śmiałe plany, zbyt wysokie tendencje psychiczne odnośnie do talentu kompozytora; dzieło to bowiem ma nam przedstawić stan chorej duszy, przez różne stopnie cierpień, zwątpień a nawet szału (Menuetto) dążącej znowu (w Allegro finale) ku równowadze moralnej i spokojowi. Szczegółowo nie sposób tu rozbiierać charakterystyki każdej części; dość rzec, iż wrażenia odczute nader słabo wtórzyły temu, co autor w komentarzach dla rozbudzenia wyobraźni słuchaczów zapowiedział.

W Wielkim Tygodniu pod batutą dyrektora Trombiniego zgromadziły się niezwykle (jak u nas) liczne siły wykonawcze zbiorowe i solowe ku wykonaniu „Requiem“ Verdiego. Widzieliśmy tedy na scenie naszej chóry teatralne wzmocnione przez amatorski śpiewaczki i członków Towarzystwa „Lutnia“, z solistów oprócz panny Babińskiej, dwie utalentowane amatorki, panie: Weichert i Wertheimowa, pp. Prevost i Sillicha, wreszcie wszystkie orkiestry teatrów warszawskich.

Słynne Requiem jest to hołd pamięci złożony przez Verdiego Manzoniemu. Początkowo cała artystyczna Italia miała się złożyć na pomnikowe dzieło dla uwielbianego pisarza; tak przynajmniej marzył Verdi, podniecając ku temu najwykwintniejszy świat muzyczny swojego kraju. Po jakimś czasie, widząc w tym względzie nadzieje swe gasnące, sam podjął się wielkiego

zadania, pomimo trudu i mozółu, jaki ono przedstawiało. Verdi, twórca głównie operowy, przywykł dotąd folgować porywom uczucia w swobodnie płynącej cantilenie, przy tworzeniu Requiem musiał wkroczyć w dziedzinę niemal obcą dla siebie, w dziedzinę poważnego klasycznego stylu, którego formy ścisłej nie zdołał od razu z całem mistrzostwem sobie przyswoić. Odbiły się zatem w wielkiem dziele, i brak swobody, w utrzymaniu właściwego charakteru Requiem jakiego wzór podają mistrze klasyczni, i niemożność zapanowania nad wrodzonymi, nieokiełznanymi porywami operowego pieśniarza, — odbiły się jakgdyby walka pierwiastku religijnego ze świeckim, zarówno w koloryce muzycznym, jak i w przewadze ustępów solowych nad masami chóralnymi, które są wyrazem uczuć zbiorowych, i jako takie w muzyce religijnej zawsze wysokie mają znaczenie. W Requiem Verdiego nazbyt ogłędne użycie chórów niejednokrotnie pozbawia kompozycję siły i efektów wstrząsających, oraz powagi, których-to niedostatków, najbardziej pieściwa dla ucha solowa melodia zastąpić tutaj nie może. Wykonanie Requiem, pomimo starannej pracy dyrektora Trombiniego, to i owo pozostawiało do życzenia; pomijając solistów, którzy mogli byli dokładniej wyuczyć się swych partii, musimy z żalem wyznać, że zastęp sił amatorskich niezbyt czynną odegrał rolę ku podniesieniu efektów: chór amatorski jest to, niestety, zawsze ruchliwe i kapryśne morze, na którego zmiennych falach oprzeć się trudno.

Juliusz Stettler.

Z SAMYM SOBĄ.

Dziewiąta godzina wybiła na Wieży Maryackiej. Przed hotelem Victoria stanął powóz, z którego wysiadł młody mężczyzna otulony futrem; wbiegł szybko do sieni, a z tej na schody, na pierwsze piętro, gdzie zajmował apartament.

Lokaj stojący na kurytarzu otworzył mu drzwi, zdjął futro i zapytał:

— Jaśnie pan będzie pił herbatę?

— Podaj — odpowiedział, nie patrząc na służącego; z nerwowym pośpiechem przebiegł przedpokój, wszedł do salonu i stanął przed dużem zwierciadłem.

Ubiór balowy wskazywał, że spędził noc bezsenne, co też potwierdzało znużenie, odbijające się w całej jego postaci.

Zdjął kapelusz, spojrzał na siebie badawczo, przeciągle, jakby obraz odbity w zwierciadle był wizerunkiem kogoś zupełnie obcego, wstrząsnął się, przeciągnął parę razy, poziewając i wyrzekł sam do siebie:

— Tortury nie do zniesienia!

Lokaj wniósł herbatę.

On nalał sobie filiżankę, zapalił cygaro, lecz zamiast udać się na spoczynek, siadł przed fortepianem, na którym leżało mnóstwo nut porozrzucanych; uderzył wprawna ręką kilka akordów, zaczął przewracać w utworach rozłożonych na pulpicie.

Wybrał pieśnię Żeleńskiego.

Z rozległej skali tenorowego głosu znać było, że śpiewający przechodził zwykłą miarę amatorów, poruszających się bojaźliwie w powijkach miernoty i że przyuczony do dobrej szkoły, łatwo pokonywał mechaniczne trudności sztuki; mimo to poruszał się niecierpliwie na taburecie, niezadowolony z wykonania, poprawiał się po kilka razy w trudniejszych przejściach, widocznie studiował nową muzykę.

— Proszę jaśnie pana — wyrzekł półgłosem słyszający, stojący na progu salonu.

— Czegoż tam chcesz? — ze to chwili nie można mieć spokojnej!

— Zakonnice przyszły po kweście.

— Kto przyszedł? — zapytał żywiej.

— Zakonnice po kweście, na dom dzieci zanied-

banych i opuszczonych — wypowiedział lokaj głębiej z determinacją.

— Wpuść.

Wstał niechętnie od fortepianu i wyrzekł sam do siebie:

— Dużobym dał, żeby mi kto w tej chwili zaśpiewał, którakolwiek z tych arii tak, jak je w duszy czuję, a wykonać nie potrafię.

— Ja zaśpiewam — odpowiedział wdzięczny głos z przedpokojem.

Odwrocił się zdziwiony i zobaczył przed sobą dwie postacie w zakonnych szatach. Jedna z nich, sędziwa, patrzyła na niego pokornie, twarz jej łagodna, uśmiechnięta wyrażała dobroduszość; druga była młoda, piękna, jakaś pięknością niezwykłą, idealną. Ta, schylając w ukłonie lekko głowę, przeszła koło zdumionego młodzieńca i usiadła do fortepianu. Chwilę wpatrzyła się bacznie w pieśnię przed sobą rozłożone na pulpicie, przerzuciła je do końca, a potem odsuwając nuty na bok, zaczęła przy akompaniamencie śpiewać jedną z nich z pamięci.

Głos jej kontraltowy, z początku jakby przytłumiony wzruszeniem, wyswobodził się wkrótce spod wpływu chwilowego nastroju i zapanował z całym artyzmem zupełnego wykończenia nad utworem. Trudności, które jeżyły się przed młodzieńcem, rozwiały się w mistrzowskiej technice, pieśń płynęła majestatycznie a tak rzewnie, jakby ją jakaś nieziemska istota, w chwili natchnienia z ducha swego wylewała.

Młodzieniec, zasluchany, zamagnetyzowany cza-rem głosu, wpadł w zachwyt.

Jej rumieńce wystąpiły na blade przedtem policzki, twarz opromieniona blaskiem, przeistoczyła się zupełnie, jakaś potęga wyższa biła z oblicza tej, w zakonną obłonę spowitej twarzy; wreszcie pieśń umilkła, a ona stanęła przed nim w pokorze, z ręką wyciągniętą po jałmużnę.

Przykuty do miejsca podziwem i urokiem śpiewu, wyrzekł po chwili cicho:

— Siostro! chyba anioł harmonii weilił się w twą postać. Kimże jesteś w rzeczywistości?

— Siostrą biednych — odpowiedziała. — Dawniej śpiewałam ludziom, godłem mojem była sława; teraz śpiewam Bogu i tym małuczkim, którzy z kałuzi zepsucia i opuszczenia wyciągają do nas błagalnie ręce o ratunek i opiekę.

Przeszła próg, łącząc się z drugą siostrą; on oprzytomniał, sięgnął do pugłaresu, wyjął banknot na tysiąc reńskich i oddał go siostrze z ukłonem tak pełnym czci, jakby przed nim stała najpotężniejsza z władczyń tego świata.

Za chwilę otworzyły się drzwi, zakonnice wyszły, on został ze swemi myślami.

Oparł czoło na rękę, wzrok duszy zapuścił aż do dna sumienia.

— Czem żył dotąd? co robił dla świata? czem się zasłużył?

Jakiś nienasycony głód wrażeń pędzi go z jednego końca świata na drugi, co go dzisiaj zapala, jutro męczy, nuży się życiem do potu, a jest czezy pracy i zasługi. Wola jego, tak giętka w zaspakajaniu chwilowych zachceń, podmuchów fantazyi, tak jest nieokiełznaną, gdy jej przyjdzie przyłożyć się do czynu ważniejszego. Całe tygodnie upływają, nim zdobędzie się na załatwienie najwzwyklejszych interesów. Ięz-to dobrych natchnień, zasobów uczucia zużył i przetrwonil w miłostkach łatwych, w lekkich stosunkach, które wyiębiały jego serce, budząc w nim wstręt do stworzenia ogniska domowego, wychowania rodziny; ile pieniędzy utopił za granicą w pośpiesznych a bezcelowych podróżyach, w których uciekał przed samym sobą!

Wegetował z dnia na dzień, ślizgając się po wierzezu obowiązków i stosunków; odczuwał galwanicznie prądy, które wstrząsają Ludzkość, ale nie go nie poruszyło do głębi, nie nie wpłynęło na zmianę życia, jakie prowadził.

Z tem wszystkiem, czy jest szczęśliwy?

Achl gdyby kto mógł odczuć te tortury, na których on nieraz wyciąga swoje moralną i duchową istotę, gdyby kto doznał tej walki, którą staczają w nim lepsze porywy, szlachetniejsze poczucia, domagające się prawa bytu, z tą biernością nieopatrzna, z temi nawykniieniami, w które uposażyło go stanowisko, wychowanie, przyzwyczajenie spi-

jania życia jako nektaru, dającego zapomnienie tych trudów i mozół, z którymi łamają się ci, co pracą ciężką los swój wywalczają!

I dzisiaj nawet, po tem wydarzeniu z kwestą, jakież to myśli tłoczą się do jego duszy?

Cóż to za żywioły sprzeczne walkę z nim wiodą, jakby duchy dobre i złe wyrwały go sobie nawzajem?

Wszak co tylko z balu powrócił, syt tryumfów. Jeszcze stoją mu w pamięci namiętne spojrzenia najpiękniejszych kobiet; każda z nich byłaby szczęśliwą, gdyby go do siebie przykuć mogła, złączyć z nim życie swoje.

A on, bogaty, młody, znakomitego rodu, obojętny na ich holdy, nie prócz wymiany sztucznych błyskotliwych frazesów nie może z siebie wydobyć.

I teraz czuje, jak z głębi jego duszy, z najtajniejszych zakątków sumienia, powstaje pragnienie wypowiedziania się z tych wieżów szychowych. Cała jego istota dopomina się głosem wielkim o życie czynu, poświęcenia się, braterstwa; żąda, by zdjął z nóg swych koturny, które go podwyższają na scenie salonów, a stanął na gruncie ojczyznej niwy, by wszystkie cierpienia, walki, dążeń szlachetne, znalazły w nim pracownika gorliwego.

Wszak na środki po temu, ma gotowe stanowisko; materiału w tem wszystkim, co go otacza, więcej, niż mu na początek trzeba.

I widzi w pośrodku ludzkości wielką przepaść, ku której ludzie najróżnorodniejszych przekonań stanów i wieku, biegną zadyszani, rzucając w nią namiętne godła, pod którymi chcą pracować nad zasypaniem otchłani.

Jedni ciskają w nią fałszywe liczmany, drudzy puste frazesy, inni jeszcze zażarte uprzedzenia, nienawiść, pychę, własny egoizm, żądę złota i rozpasania zwierzęcego.

Wszyscy prawie krzają się w gniewie, rozpychając się gwałtownie, obrzucając wzajemnie wzgardą.

Czasami w niewielkiej liczbie zdążają ku tej samej przepaści ludzie, z oblicza których bije żar boleści, idą wolno, z wielkim trudem, wywalczając krok każdy, cisi są i miłujący, a wrzucają w otchłań przed nimi rozwartą to, co mają najczystsze i najdroższe w sobie i życiu swoim.

Hasłem tych ludzi — czyn oparty na bratniej miłości, dobrej woli i przebaczeniu krzywd wzajemnych.

Dusze ich, naznaczone stygmatem wysokiego posłannictwa, pracują w imię Boga na królestwo odkupienia, ku któremu Ludzkość się wyrwa.

I dziwna potęga musi być w darach, które oni tam składają, bo one same jedne spośród tylu innych mają moc cudowną zatrzymywania się w onej przepaści i wypełniania jej; wszystko zaś co wrzucają weń ludzie walcący pod innemi sztandarami, przepada marnie.

W duszy młodzieńca powstaje jasność, jakby świt nowego życia; głos jakiś dziwnie łagodny a uroczysty, powtarza mu dawno zapomnianą przestrożę poety:

Czyn każdy w kółku swoim, co każe duch Boży,
A całość sama się złoży.

Walerja Stacherska.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż przywrócenie wywozu pszenicy nastąpi przed końcem bieżącego miesiąca, żyta około 13 Czerwca, jeżeli widoki urodzaju będą się przedstawiać pomyślnie.

— Według dzienników petersburskich komitet ministrów ma obradować nad kwestyą zamienienia progimnazjów na szkoły ogólne z charakterem rolniczym.

— W dniu wczorajszym odbył się ostatni w tym sezonie wieczór Tow. Muzycznego.

— Zapisy przyjmowania ubogich dzieci war-

szawskich na kolonie letnie ukończyły się z tym skutkiem, iż zostało zakwalifikowanych do przyjęcia 640 biednych maleców.

— Rozpoczęły się roboty koło budowy kościoła Ś-go Augusta przy ulicy Dzielnej. Komitet budowy rozłożył je na lat cztery, w którym to czasie świątynia ta zostanie wzniesioną wyłącznie z cegły, kamienia i żelaza.

— Pomnik s. p. księdza Adama Jakubowskiego został uroczystie odsłonięty d. 6 Maja. Pomnik ten dłuta rzeźbiarza Syrewicza przedstawia na marmurowym tle mozaikowem popiersie szlachetnego kapłana, otoczone wieńcem laurowym, a wykute z marmuru karraryjskiego. Po nad czołem gwiazda pięciopromienna dalej napis: „S. p. ks. Adam Jakubowski, b. rektor Pijarów w Krakowie, Członek Rady Wychowania Publicznego, wizytator szkół w Królestwie Polskim, proboszcz kościoła Ś-go Krzyża, urodzony d. 31 Grudnia 1801 r., zm. 9 Grudnia 1882 r. Wdzięczni rodacy“. — Tablica mieszcząca napis łączy się bardzo wdzięcznie z medalionem przez ornament z gałęzi dębu i palmy. Dodać trzeba, że fundusze złożone na pomnik były niewielkie, i tylko obywatelska ofiarność artysty, który nie przyjął nic za pracę swoją, pozwoliła, aby pamięć zacnego kapłana tak uczczoną została.

— Wskutek inicjatywy i ofiary p. Wesslowej z Żyrzyna organizatorowie Kolonii Letnich zapracowali zaopatrywać wysyłane na wieś dzieci w łóżeczka żelazne; przecież fundusz złożony pozwalał nabyć ich tylko 20, gdy potrzeba było co najmniej 100, lecz naraz przybył on z za morza, z Ameryki przysłany w summie 200 rs. przez Erazma Jerzmanowskiego. Jest on czytelnikiem i prenumeratorem *Kuryera Warszawskiego*, i za jego pośrednictwem dowiedział się o potrzebie składki, do której się hojnie przyłożył. Wzruszająca to rzecz i dowód, że nie łącząca z krajem mieszkańców innej półkuli świata nie zrywa się przecież.

— Warszawskie Tow. Zachęty Sztuk Pięknych otrzymało od zamieszkałego w Wilnie hr. Milewskiego obietnicę przysłania w jesieni b. r. na wystawę Towarzystwa zbiorów jego cennej galerii obrazów.

— Pod tytułem: *Lutnia* wychodzący wybór kwartetów męzkich, zyskał już zeszyt IV, zawierający „Pieśni ludowe“ układu Piotra Maszyńskiego.

— Ukazały się świeżo reprodukcje dwóch portretów: Mickiewicza i Krasińskiego, zrobionych przez Tytusa Maliszewskiego kredką. Reprodukcyi dokonał litograficznie Wład. Walkiewicz. Portret Mickiewicza został wykonany przez artystę z fotografii, zdjętej w Paryżu w 1854, a więc na 5 lat przed śmiercią poety, drugi z fotografii robionej w Dreźnie 1857 r. P. Tytus Maliszewski znał osobiście obu nieśmiertelnych tych poetów, co wpływać musiało dodatnio na oddanie przezeń ich oblicza. Artysta ten wykonał już poprzednio portrety Szopena i Moniuszki w takimsamym formacie.

— Wyjść ma fotografowane album najstarszych, najbardziej charakterystycznych kościołów w Królestwie. Posłano już współpracowników do Płocka, Włocławka i innych miejscowości; obok tego zdejmowane są już widoki kościołów Warszawy.

— Na międzynarodową wystawę muzyczno-teatralną w Wiedniu otwartą bardzo uroczystie w dniu 7-ym b. m., przesłano pamiątki po Szopenie: fortepian Pleyela z Paryża i krzesło, na którym przy nim siedział, oraz portret Szopena, malowany przez przyjaciela jego Kwiatkowskiego, przedstawiający mistrza już na łożu śmierci, przytem dwie akwarelle przedstawiające młodzieńca jeszcze.

Hr. Konstanty Przedziecki, zadeklarował nasze muzyczne narzędzie ludowe, ligawkę.

— Maurycy Karassowski, uczony muzyk: kom-

pozytor, historyk i krytyk muzyczny, umarł w Dreźnie. Urodzony w Warszawie w 1823 r., odbył pierwsze studia muzyczne pod przewodnictwem W. Kratzera, potem kształcił go w nauce hermonii Freyer. Pierwsza młodość upłynęła mu na wsi, gdzie talent jego rozwijał się samodzielnie. Dobrzyński powołał go do Warszawy w 1852 r., gdzie został solistą w orkiestrze teatralnej i tu zajął się K. studiami nad muzyką naszą, które drukował w Bibliotece Warszawskiej: „Rys opery polskiej“, który wyszedł najpierw w *Bibliotece Warszawskiej* a następnie w książce, wydanej nakładem M. Glücksberga. Dzieło to, poświęcone Moniuszce, jest jedynym w tym kierunku wśród literatury naszej.

— Dyrektor Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego Zygmunt Noskowski, miał w Krakowie na dochód orkiestry miejskiej odczyt, wygłoszony już w Warszawie: „Od Bacha do Szopena“. Dalsze odczyty odbywać się będą w zakładzie naukowym dla kobiet imienia Adryana Baranieckiego, a budzą one w mieście wielkie zajęcie.

Na kwestyonaryusz, przedstawiony przez przez krakowską kommissyą teatralną: czy nowy teatr ma być instytucją miejską, czy też zostać wypuszczonym w dzierżawę? Karol Estreicher bibliotekarz akademii oświadczył się za tym ostatnim sposobem prowadzenia sceny krakowskiej, co wywoła w mieście niezadowolenie. Opinia ogółu żąda, aby gmina miasta administrowała tą ważną instytucją publiczną, która zaliczać się musi do składowej części wpływów moralnych.

— Kommissya teatralna rozstrzygnęła konkurs na korytnę dla nowego teatru: Przyznano równe nagrody po 300 zł. reń. dwom szkicom: pod gołdem „Wodne lilie“ malarza Lisiewicza, pod gołdem greckiem „Wojna ojcem wszystkiego“ J. dwigi Boguckiej z Warszawy.

— Na dorocznym posiedzeniu krakowskiej Akademii Umiejętności, które, jak zwykle, zebrało się w miesiącu bieżącym, zagał posiedzenie zastępcę protektora, Dunajewski, na co odpowiedział mu St. Tarnowski. Następnie sekretarz generalny Smolka wygłosił sprawozdanie z czynności naukowych i administracyjnych. Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii prof. Morawski złożył prac dwie Kornela Juliusza Hecke, obejmujące materiały do biografii starego poety naszego, Zimorowicza, zawierające sądy współczesnych o poecie, testament jego, listy, drobne utwory, oraz wyciągi z ksiąg i aktów publicznych. Wykazują one, iż ojciec poety nazywał się: Ozimek i bynajmniej nie był ormianinem, jak chciał Wiszniewski.

— Docent uniwersytetu lwowskiego D-r Nussbaum z Warszawy ogłosił już wykłady z dziedziny zoologii, które rozpocznie w bieżącym półroczu. Uniwersytet lwowski liczył 1.300 słuchaczy w półroczu zimelem. Rozwiązano naukową czytelnię lwowską za przekroczenie czynności objętych statutem.

— We Lwowie otwartem zostanie w gmachu ratuszowym muzeum miejskie, w którym dzięki staraniom kustosa, D-ra Czołowskiego. W osobnej sali pomieszczone będą zabytki miasta i pamiątki po jego mieszkańcach, w skutek czego wiele przedmiotów znajdujących się dotąd w rełkach prywatnych zbiorów te pomnoży.

— Lwowskie towarzystwo gymnastyczne, zwane „Sokol“ zamierza obchodzić jubileuszową uroczystość Towarzystwa. Oprócz galicyjskich towarzystw Sokolów, przyjmą tu udział Sokoly plemion pobratymczych, z Czech, z Krocacyi. Prezydum Sokolów czeskich w Pradze wydało już odezwę do wszystkich związków czeskich tegoż Towarzystwa, aby stawiły się na zaproszenie.

— Właściciel może największej i najbogatszej galerii malarzy naszych, hr. Milewski, pragnie posiadać wśród zbiorów swoich portrety wszystkich malarzy naszych, i w tym celu zwrócił się do nich z żądaniem, które zostało przyjętem przychylnie. Portret Matejki ma mu się dostać wkrótce, ponieważ jest już na ukończeniu i odznacza się wielkiem podobieństwem.

— Nadesłane do Krakowa dzieła impressyonistów na wystawę sztuk pięknych nie zyskały sobie uznania. Wystawione w Sukiennicach ściągają zrazu licznie publiczność odwiedzającą, ale nie sprawiły wrażenia dodatniego.

— Stosownie do postanowień nowego statutu dla galicyjskich stacyi klimatycznych, sezon letni rozpocznie się w Zakopanem z d. 15 Czerwca. W dniu tym otwartym zostanie dworzec, to jest kasyno Towarzystwa Tatrzańskiego, oraz czytelnia, restauracya i urząd klimatyczny rozpocznie działanie swoje. Towarzystwo zamierza uprzyjemnić tu możliwie pobyt gościom i otwarta będzie w danym czasie czytelnia, restauracya, w kasynie mają odbywać się zabawy tańcujące. Przytem Towarzystwo zajmuje się bardzo ulepszeniem komunikacji w górach, w czem dopomaga mu Wydział Krajowy; przeprowadzona wkrótce będzie bita droga na Jaszczurówkę, na Łysą Górę i ku Morskiemu Oku, gdzie urządzoną zostanie stała restauracya.

— Gdy Leon XIII otworzył do użytku powszechnego w celu badań historycznych archiwa watykańskie dla ułatwienia badań historycznych, sejm krajowy wyznaczył w 1887 r. na ten cel zasiłek trzyletni po 1.500 zł. reń. Następnie wyznaczonym został takżsam zasiłek na następne trzy lata, że przecież badania takie i wypisy z oryginałów czynione są pracą mozolną dla odniesienia i nieprędko postępującą, prof. Smolka wniósł do sejmu krajowego petycją o zasiłek podobny jeszcze na następne trzy lata.

— Nieustająca wystawa wyrobów przemysłowych we Lwowie ma być w jak najbliższym czasie otwartą przez galicyjskie Tow. Handlowe przy bazarze centralnym. Wspomniane Towarzystwo przedsięwzięło zająć się również nieustającą wystawą takich przedmiotów przemysłu krajowego, które dla swych rozmiarów nie mogą być w większej ilości wystawione w bazarze.

— Opis Galicyi, mający się zawrzeć w wielkiem wydawnictwie wiedeńskim, przedsięwziętem niegdyś przez Arcy-Księcia Rudolfa, a prowadzonem przez wdowę po nim, obejmować będzie tom o 33 arkuszach druku, oraz liczne ryciny. Opracowanie dzieła prowadzą: Godfryd Ossowski (archeologia przedhistoryczna) prof. Smolka i prof. A. Lewicki (historia kraju), Dr J. Mayer (ludność), prof. Malinowski (dialektyka), prof. Ogonowski (literatura ludowa), prof. Szajnocha (górnictwo), prof. Pilat (stosunki gospodarcze), prof. M. Sokołowski i prof. Łuszczkiewicz (sztuki plastyczne), Dr. Tomkiewicz (muzyka). Obok tego Wład. Łoziński, Dr Michał Bobrzyński, Dr Juliusz Leo, Dr Józef Balicki umieszczają tu studia swoje.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Społeczne prawa kobiety, przez M. Ilnicką. — Fryderyk Marcin Bodenstedt. („Mirza Schaffy“), przez Wiktora Czajewskiego. — Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg). — Przy księżycu. — January, powieść współczesna Waleryi Marrené, J. Nitowskiego. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Z samym sobą, przez Waleryę Stachowską. — Z bieżącej chwili. — Ogłoszenia.

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład z niemieckiego. Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Praktyczne i tanie materyały w magazynie pani Heurich.—angielskie i krepony.—Suknia biała z kreponu do pierwszej komunii u p. Anny.—Czy podszycić czy nie spódnice u sukien.—Długość sukienek dziecięcych.

Pani Heurich powróciwszy z Paryża przywiozła swej klienteli wybór samych praktycznych materyałów na różne ceny i do każdego gustu. Między wielkim wyborem tych ślicznych materyałów wyróżniają się zawsze wełniane, i jeżeli tegorocznym wyrobom możemy coś zarzucić, to to, iż są więcej przeznaczone na wiosnę i ciepłą jesień, niżeli na gorące lato, ale tak przywykliśmy do zimnego nawet lata u nas, że nie nas już nie dziwi od czasu, jak paryżanki na brzegach morza noszą suknie lekkie przybrane aksamitem, lub kapelusze fileowe w środku lata. Bardzo praktyczne wyroby zwane „frisé“ marszczone w poprzek zawsze w szarych tonach, przeważnie angielskie są dziś na czasie, co sprawdza wyżej wyrażone zdanie, a tych angielskich jest takie mnóstwo na wszystkich przechodzących różne kolorowe supelki i nitki, czy to w kawowym, czy piaskowym, czy popielatym zawsze ponsowe, niebieskie i żółte oko spotyka, tak to jednak złane jest w jednolitą całość, że tylko kolor podstawowy uwidatnia się. Wszystkie dwukciowej szerokości po rs. 1 kop. 25. Są i angielskie ze szlakiem, którym ubiera się cały kostium, tnąc go na paski szersze lub węższe. Strojniejsze są jedwabne, mieszane z wełną w pasy jedwabne wązkie w odległości trzech centymetrów, te są od 1—25, do 1—50. Pokazywano nam także grubsze angielskie jako wyrob „diagonal“ śliczne mieniające w paski ukośne, to blade-niebieski, blade-różowy, lila — heliotrop, żółty, ale czy sądzicie panie że to znać, że są mieniające, bynajmniej, jest to odbłask tego koloru, ale całość wygląda szaro, piaskowo i t. p. Dalej są krepy wełniane i bawełniane, wełniane na granatowym tle białe strzały lub arabeski od 80 kop. do rs. 1, zawsze w wełnie są ciemne, tymczasem krepy bawełniane są jasne w ślicznych kolorach bladej róży, niezapominajki, heliotropu, dalii i t. p., prawdziwie letnia suknia, te są od 60 do 70 kop. łokieć. Oprócz tego dawniejsze kremowe woaliny zastąpiono kreponami, które są marzeniem; kto widział owe zasłonki na lampy, robione z angielskiej bibułki gniecionej, zwane „frou-frou“, którym sami daliśmy początek, opisując sposób robienia w piśmie naszym, tworzącej jednolity materyał papierowy w drobniutkie wypukłe paski, ten sobie łatwo wyobrazi, jak te śliczne krepony wyglądają. Widzieliśmy suknię zrobioną z tego materyału w magazynie pani Anny, róg Marszałkowskiej i Próznej, przeznaczoną do pierwszej komunii dla młodej panienki, przybraną morową wstążką, a choć kokardy „Watteau“ już przeszły, do tej sukienki ślicznie pasowała przypięta na staniku w górze taka kokarda z długimi końcami, zresztą głaciutka sukienka, tak jak je dziś moda mieć chce, gdyż rzeczywiście

wyjątkowa prostota wyróżnia dzisiejszego sezonu modele, bez żadnych draperyj i prawie żadnych ozdób, z których tylko gipiura i wstążki zostały w użyciu, te ostatnie tworzą albo kokardę z pukli w górę ułożonych, dalej przechodząc pod ramionami kończą się zwykle z boku długimi końcami, którym zostawiono miano „Watteau.“ Co do układu sukni, zachodzi jeszcze pytanie bardzo ważne dla ogółu a przedewszystkiem dla modystek, czy podszycić suknie, czy nie. Tak i nie — jest to tylko kwestya zastosowania. Muślin wełniany bardzo lekki zyskuje wiele, podszycy fularem i florasem (cieniutki jedwab), łatwiej suknię unieść i lepiej się rzucają fałdy. To, co tu mówimy o muślinach, stosuje się do wszystkich lekkich woalin lub kreponów, czyli materyałów lekkich. Co się tyczy sukien jedwabnych, te po większej części robią się bez podszewki, sycyliana, bengalina, a nawet fular w dobrym gatunku nie potrzebują tego podtrzymania. Tylko lekkie fulary, któreby wyglądały bardzo sztyfonowato, bez podszewki potrzebują jej koniecznie. Co mabyć lepiej jest częstokroć nieprzyjacielem dobrego — otóż zasada ta doskonale daje się właśnie zastosować w tym wypadku do podszycia sukien. Nie trzeba sądzić, iż używszy na podszewkę zamiast „florens'u“ lub lekkiego fularu, materyę grubszą a więc sztywniejszą będzie lepiej, właśnie będzie gorzej, bo suknia zamiast rzucać się miękko w tyle, będzie się układała sztywno jakby balon, zamiast jak moda wymaga tworzyć mały ogon węzowaty.

W jednym z przeszłych naszych przeglądów, pisząc o ubiorach dziecięcych zanotowaliśmy, iż nawet dzieci noszą dziś dłuższe suknie, to jednak nie

znaczy długie. Otóż z tego powodu wynikły różne kwestye, które musimy sprostować, naturalnie podlotki 12-letnie chcą już długich sukien, temczasem od lat 9 aż do 15 nawet sukienka powinna sięgać do kostki: u mniejszych dzieci może być troszkę po nad kostkę, gdyż o ile gdy wszyscy nosimy długie, razi oczy owa przesadnie krótka sukienka, o tyle niezgrabnie wygląda dziewczynka np. 4-rolletnia w za długiej sukience. Przyzwoitość jest za dłuższą, ale wszędzie i zawsze pojęcie estetyczne powinno wchodzić w rachubę i jak wszędzie tak i tu przesada jest rażąca i naganna. Kwestyę tę bardzo dobrze rozwiązuje znany dobry gust pani Pawlik, właścicielki magazynu dziecięcych ubiorów, ul. Trębacka, dom Scheiblera.

Proszeni jesteśmy, aby uwiadomić czytelniki „Bluszczu“, że magazyn p. Herzego tylko podczas postu robił owe suknie fularowe z bluzkami po 20 rubli.

L. C.

Serwetka podłużna wykonana tasiemką „rokoko“, ścięciem gałązkowym i płaskim.

Rycina Nr 5—8 w B. Nr 18.

Serwetka długości 152 c. szer. 33 c. na tkaninie lnianej koloru białego, otoczona obrąbkami 3½ c. szer. z mereszka a dalej szlaczek przezroczysty 4 c. szer., na co należy wyciągnąć naokoło 8 nitek tkaniny, potem zostawić 6 i znowu wyciągnąć 8, mniej więcej w odstępie 20 nitek, wyciągnąć 16 nitek, znowu 20 nitek pozostawić, 8 nitek wyciągnąć, 6 nitek pozostawić i jeszcze raz 8 nitek wyciągnąć; po każdym pozostawionych 6 nitkach przesywać ciągle 4 nitki z obydwóch boków, dla utworzenia linijki białymi błyszczącymi niemi ścięciem krzyżowym. Na szerokim pasku opuszczonym wykonać ściąg gałązkowy grubymi niemi błyszczącymi, każde 4 nitki mocować, jako też wolny jeszcze brzeg i przyczepiać środkowe linijki supelkowym ścięciem cienkimi niemi. Co do gałązek ryc. Nr 6—3 wykonać należy 3 duże gałązki i 6 gałązek małych. Gałązki oraz otoczenie listków ścięciem gałązkowym, b a w e ł n a ponsową, kwiatki i listki wykonać tego samego koloru wstążeczką „rokoko“, nawleczoną w grubą igłę i przewlekaną tam i napowrót przez materyał. Kwiatki i pączki pojedyncze wykonać cienką podwójną złotą nitką i otoczyć tą nitką pierwsze wykonane białymi niemi supelkowe ścięgi, Kielichy ścięciem płaskim ponsową bawełną i ozdobić takowe, jako też małe listki pojedynczemi ścięgami białą bawełną, Wiązanie gałązek wykonać ścięciem płaskim białą bawełną i otoczyć bawełną ponsową.

Fartuszek do gospodarstwa ozdobiony haftem krzyżowym.

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 18. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 62—64).

Fartuszek z materyału bawełnianego w drobną kratkę granatową z białym, 84 c. dług, a 109 c. obwodu. Haft wykonać podług fig. 62, 63 i 64 bawełną granatową do prania, ścięciem krzyżowym.





Nr 3. Suknia podróżna z bluzką i palto-
ciem (do ryc. Nr 4 (patrz Nr 9 i 10 w Bl.
Nr 20).

Poduszeczka na toaletę.

Rycina Nr 13 i 17 w Bl. Nr 18.

Poduszeczka 19 c. wielkości, po-
kryta żółtym repsem jedwabnym i po-
kryta haftem wykonanym na cienkiej
tkaninie „kongres,” przybrana bufką,
koronką i kokardami podług ryc.

Rycina Nr 17 przedstawia część
haftu naturalnej wielkości, wykona-
nego filozelą jasną i ciemną koloru
poziomkowego i złotym sznurecz-
kiem, przejmując 3 nitki tkaniny na
wysokość i na szerokość w odstępie
18 nitek. Otoczyć tak samo wykona-
nym szlaczkiem i ozdobić takowy po-
dług ryc. ukośnym ścięciem złotą ni-
tką. Figury gwiazdkowe wykonać ta-
ką samą złotą nitką i fig. kwadra-
towe filozelą koloru poziomkowego,
jasnego i ciemnego naprzemian ścię-
ciem dzierganym. Tło figur kwadra-
towych wyciąć i wykonać dziergane
małe łuki, przyczem w środku wyko-
nywać pikoty. Zewnętrzny szeroki
szlaczek wykonywać filozelą koloru
jasno-oliwkowego i terrakota ścię-



Nr 4. Tylna część palto-
tu do ryc. Nr 3.

giem płaskim, przejmując tkaninę na 5 nitek wyso-
kości. Pojedyncze nitki środkowe wykonać jedwa-
biem koloru terrakota i złotą nitką.

Suknia z kaszmiru z haftowanym kaftanikiem przybrana wstążką.

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 18.

Kaszmir koloru zielonego, częścią gładki, czę-
ścią ozdobiony haftem, wykonanym jedwabiem
koloru „vieux rose” i wstążką rozmaitej szeroko-
ści koloru „vieux rose.” Spódnica okrągła gładka
i stanik przybrany kaftanikiem haftowanym formą
„figaro.” Rękawy haftowane uzupełniają całość.

Suknia spacerowa z materiału gładkiego i w pasy.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 18.

Suknia złożona ze spódnicy i z wetmanu, wyko-
nana z materiału gładkiego koloru popielatego
i z materiału krepowanego tegoż koloru w pasy
koloru zielonego, ozdobiona wstążką aksamitną
koloru zielonego.

Czepeczek nocny.

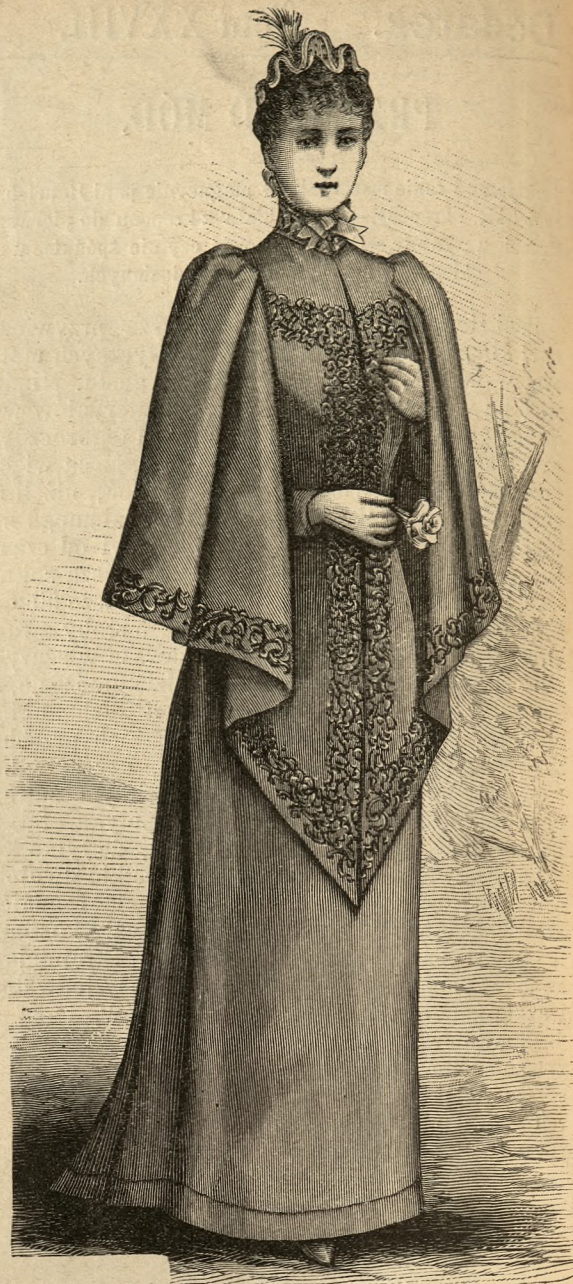
Rycina Nr 18 w Bl. Nr 18. (Krój odwr. str. tabl. Nr X,
fig. 59 i 60.

Skrajać z cienkiego płótna fig. 59 i 60 po jednej
części złożonej wzdłuż środka. Pierwszą wzdłuż
brzegu zmarszczyć i połączyć z karczkiem od 70
do 71. Karczek otoczyć haftowaną falbanką 3 c.
szer. i pokryć przyszyć listewką $\frac{1}{2}$ c. szer. W tyl-
nej części karczka przyszyć listewkę na przewle-
czenie tasiemki. Szarfki do wiązania przyszyć
w miejscu oznaczonym dwukropkiem.



Nr 7. Suknia z bluzką dla panienki
od 14 — 16 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl.
Nr XI, fig. 54—56).

Nr 8. Suknia z muślinu wełnianego
z odpasowanym szlakiem (do ryc. Nr 5).

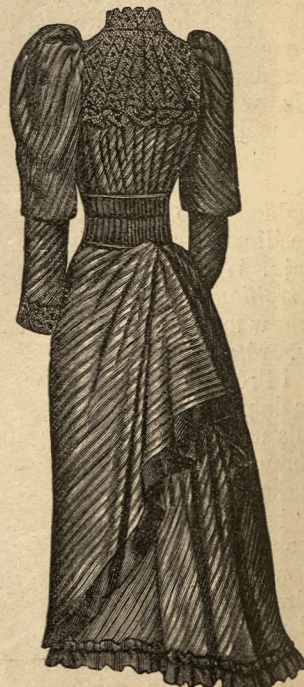


Nr 6. Mantylka dla starszej osoby.
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X,
fig. 51—53).

Suknia jedwabna.

Rycina Nr 1 i 2.

Suknia z materiału jedwabnego
koloru „vieux rose,” przybrana czar-
ną koronką „chantilly” i pasman-
teryjnymi ozdobami z wieszadłami dze-
towymi. Spódnica płaska, z przodu
ułożona w głębokie fałdy, w tylnej
części z niewielkim trenem z mate-
ryału jedwabnego mienionego „vieux
rose.” Dolna część spódnicy przy-
brana falbanką plisowaną i pokryta
drugą spódnicą koronkową, przybra-
ną podług ryc. pasmanterią z wie-
szadełkami dzetowymi. Stanik gład-
ki, zapinany pod pachą, pokryty



Nr 5. Tylna część sukni Nr 8.

czarną koronką marszczoną z przodu i z tyłu, bez zaszepek. Ozdoby pasmanteryjne odpowiednie do całości. Wstążki w części czarne morowe, w części koloru „vieux rose“, układem swoim tworzą jakby rodzaj gorsecika, zniżonego z przodu a podniesionego w szpie w tyle. Ramiona i przednia część stanika przybrana kokardami podług ryciny. Trzecia opaska stanowi pasek zakończony w tyle rozetą. Kołnierzyk stojący ze wstążki. Rękawy bufiaste pół-dłgie, przewiązane w dolnej części wstążką związaną na kokardę. Rękawiczki długie ze skórki koźlowej koloru „gris perle“. Kapełusz w kształcie małej kapotki z bengaliny koloru „vieux rose“ haftowanej złotem. Wazkie wstążki do wiązania, egreta i pióra czarne wykończają całość, przednia część kapełusza przybrana bukiecikiem z róż. Pończochy czarne jedwabne i trzewiki czarne ze skórki lakierowanej.

Suknia podróżna z bluzką i paltotem.

Rycina Nr 3 i 4.

Suknia z szewiotu koloru popielatego, złożona ze spódnicy i paltotu, dopełniona jest bluzką z fularu, z flaneli lub z innego, stosownie do upodobania materyału,

według ryc. Nr 9 lub 10 w Bl. Nr 20. Spódnica z przodu długości 106 centim., w tylnej części 118 cent., obwodu 250 c., podszyta cała tegoż samego koloru lekką alpaga, ułożona z tyłu w fałdy. Paltot zaopatrzony podszewką jedwabną, ozdobioną wykładanym kołnierzem z materyału jedwab-

nego tegoż samego koloru. Kieszonki i guziki dopełniają całości ubrania.

Suknia z muślinu wełnianego z odpasowanym szlakiem.

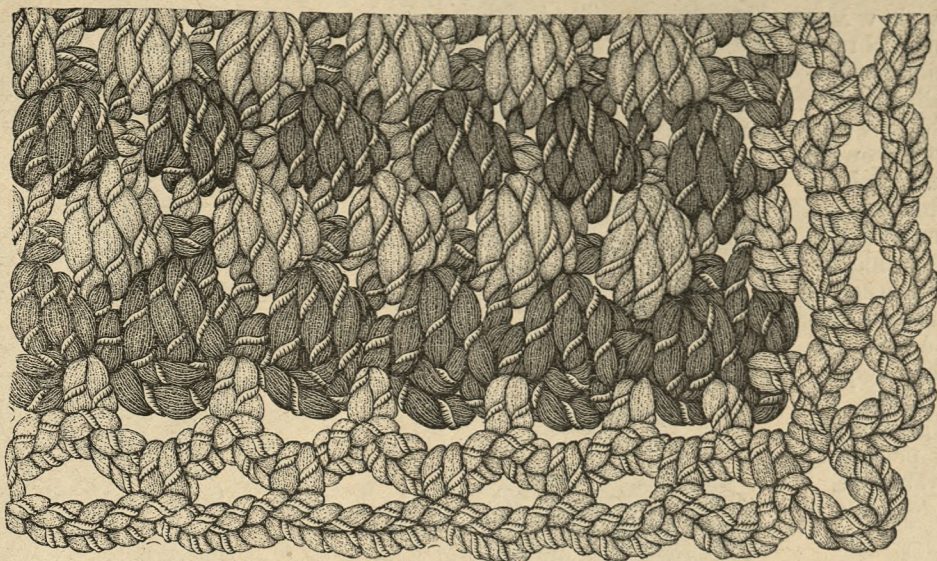
Rycina Nr 8 i 5.

Suknia z materyału wełnianego w paski koloru czarnego i poziomkowego. Szlak odpasowany 5 c. szer. oraz wstążka czarna repso-wa 9 c. szer. zdobia suknię podług ryc. Stanik krótki, zapinany z tyłu, przybrany czarną koronką w rodzaju karczka, dalej bluzka układana w fałdy w kierunku nitki ukośnej. Kołnierzyk stojący z atlasu koloru poziomkowego, pokryty czarną koronką, rękawy przybrane odpowiednio.

Suknia spacerowa.

Rycina Nr 11 i 13.

Suknia z materyału wełnianego koloru granatowego w paski, ozdobiona białym sukniem haftowanym granatowym jedwabiem, jak wskazuje rycina. Staniczek wierzchni z sukna białego, ozdobiony odpowiednim haftem. Do wyjścia na ulicę służy pelerynka ryciny Nr 11 z materyału granatowego, z kapturkiem podszytym białym sukniem. Kapełusz okrągły, pokryty wełnianym białym materyałem.



Nr 9. Część kołderki na wózek dziecienny (zmniejszony) robota szydełkowa.



Nr 10. Przędza wełniana „Excelsior“ (wielkość oryginalna) do ryc. Nr 9.

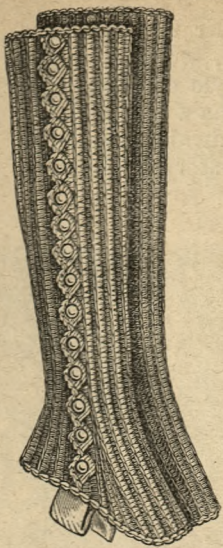


PRZEPISY GOSPODARSKIE.

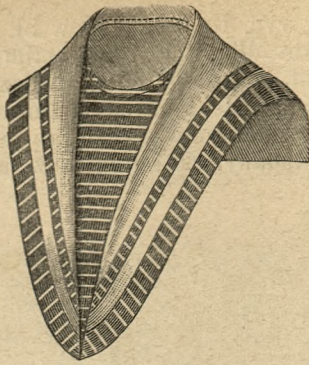
Zupa z młodej pokrzywki.

Wiemy już dawno, iż jako bardzo smaczna zielina podaje się pokrzywka, ale mało komu wiadomo, iż się robi zupa z pokrzywki. Głównie w Maju jada się pokrzywę, i to zupełnie młodą, obraną z łodyg, ugotować na gorącej wodzie z solą, zupełnie jak szpinak w obszernym rondlu, odlać, przebrać zaraz zimną wodą i posiekać. Wziąć na 4 osoby w rondel łyżkę masła młodego do stosownej ilości pokrzywy, włożyć pokrzywkę i udusić, jak się zwykle dusi szczaw na supkę. Mieć ugotowany dobry rosół i tym gorącym rosołem przefasować uduszoną pokrzywkę, którą w czasie duszenia zaciągnąć odrobiną maki, aby się dobrze z rosołem połączyła. Lejąc w wazę rozbić jedno lub dwa żółtka i mieszać łyżką gorącą supkę, aby zgęstla od jajek. Podają się do tej zupy grzaneczki wąziutkie podłużnie krajane i wysuszone.

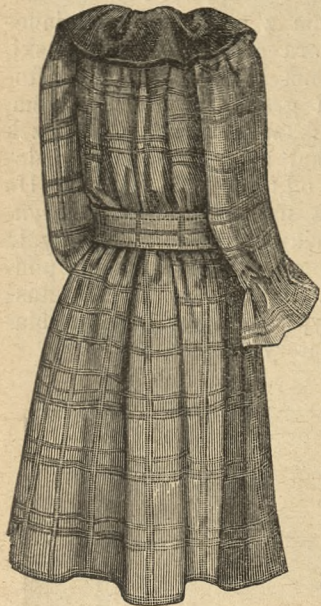
L. C.



Nr 15. Kamasze dla dziewczątka od 1 — 2 lat (robota szydełkowa).



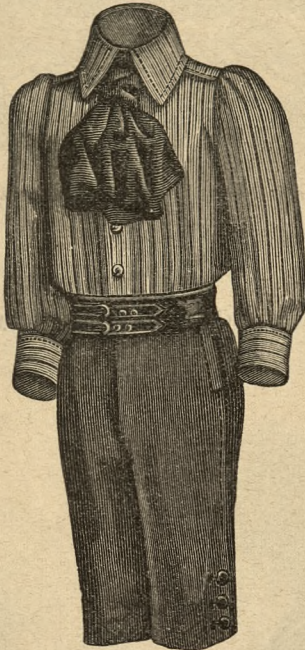
Nr 14. Kołnierzyk marynarski z napierśnikiem dla chłopczyka. (Kr. 1-sza str. tabl. Nr V, fig. 26 i 27).



Nr 16. Tylna część płaszczyka Nr 19.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z pokrzywki.
2. Paszteciki we francuzkiem cieście.
3. Główna cieleca „à la financière.”
4. Szparagi.
5. Pieczeń barania z sałatą.
6. Krem ponczowy



Nr 17. Majtki i bluzka do ryc. Nr 21.



Nr 18. Płaszcz dla panienki od 3—5 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 46—50).

Nr 19. Płaszcz dla panienki od 7—9 lat (do ryc. Nr 16). Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 22—25.



Nr 21. Ubranie dla chłopczyka od 7—9 lat (do ryc. Nr 17). Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—11.

Nr 22. Okrycie dla panienki od 13—15 lat (do ryc. Nr 20).

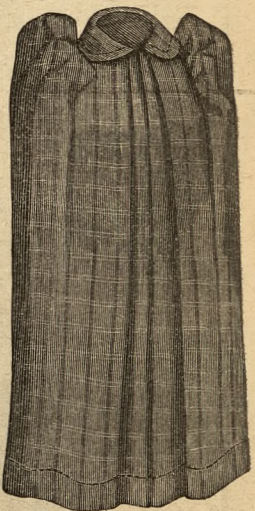
KORESPONDENCYA.

Odp. pani A. Joz.

Paski szwajcarskie dla dzieci robią się zupełnie jak dla starszych, tylko stosownie zmniejszone.

POPRAWKA.

WN-rze 18 „Dodatku do Bluszczu” zaszyły pomyłki: na str. 1 w szpalcie 3, zamiast „Alpereusetre” ma być „Alpestre,” zamiast „Chartreux” ma być „Chartreuse,” zamiast „zakonników włoskich” czytaj „francuzkich.”



Nr 20. Przednia część okrycia (do ryc. Nr 22).



Nr 23 i 24. Płaszcz dla panienki od 10—12 lat (bez pelerynki) do ryc. Nr 28 w Bl. Nr 20.

U w a g a.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.